- O. Kolbe w Japonii
- Nocne czekanie
- Dziewczyna i bestia



EKSPRES REPORTERÓW



- Kazimierz Braun
  Druga Polska w Japonii
- Leszek Konarski
  Tydzień na przystanku
- Jan Lewandowski
  Dziewczyna i bestia
- W cyklu Dziedzictwo
  Tadeusz Brodziak

Krajowa Agencja Wydawnicza
Warszawa 1982

Kazimierz Braun

DRUGA POLSKA W JAPONII

Brat Sergiusz prowadzi mnie stromą ścieżką w górę. Jest to droga Niepokalanej. Co kilkadziesiąt kroków ścieżka rozszerza się i na ostrym zboczu wyłania się mała platforma z kapliczką: brązowa płaskorzeźba w białej kamiennej oprawie. Gdy stajemy przy kolejnych stacjach różańcowych, oglądam się w tył, widok rozszerza się i coraz pełniej widać dolinę. Po prawej jest ciemnozielone — od odbitego w nim lasu — lustro wód rzeki przegrodzonej tu wielką zaporą, więc potężnej tam w górze, a znów małej i krętej poniżej. Po lewej, w górskim siodle, zaczynają się wyłaniać białe bryły centrum

---

* KAZIMIERZ BRAUN, reżyser przedstawień teatralnych i telewizyjnych, takich jak „Dziady" Mickiewicza, „Pierścień wielkiej damy" i „Za kulisami" Norwida, „Stara kobieta wysiaduje" i „Przyrost naturalny" Różewicza, „Anna Livia" Joyce'a (Słomczyńskiego), a także sztuk Szekspira, Brechta, Gombrowicza, Mrożka i in.; jest również autorem takich książek jak „Teatr wspólnoty", „Nowy teatr na świecie", „Druga Reforma Teatru?" i in.

Reżyserował i wykładał w wielu krajach. W 1981 r. otrzymał nagrodę Fundacji Japońskiej, która umożliwiła mu, drugą już, dłuższą podróż po Japonii i zapoznanie się z kulturą tego fascynującego kraju. Jednym z etapów tej podróży był japoński Niepokalanów, ośrodek misyjny w Nagasaki, założony w latach trzydziestych przez O. Maksymiliana Kolbe. (red).

Nagasaki. Tuż pod nami przez ostrą, soczystą zieleń drzew i krzewów prześwitują jasne dachy kościoła, seminarium, internatu i ceglasty płat szkolnego boiska ośrodka Franciszkanów — japońskiego Niepokalanowa

Topografia ocalenia

Bardzo ważna jest ta topografia. Topografia ocalenia.

Od bomby. Tutaj nikt nie mówi „bomba atomowa". Po prostu: bomba. Ta, która rozdarła historię tego miasta 9 sierpnia 1945 roku. Historię Japonii i świata rozdarły dwie bomby: ta tutaj, nazwana przez amerykańskich szyfrantów „fat man" — „grubas" i tamta, zrzucona na Hiroszimę trzy dni wcześniej, 6 sierpnia, a nazwana „little boy" — „chłopczyk". Te nazwy były kryptonimami, Ale ustalono je opierając się na kształtach tych bomb. „Chłopczyk" był podłużny, miał kształt regularny, dość smukły. Zabił osiemdziesiąt tysięcy. W jednej chwili. Potem jeszcze doliczono około sto tysięcy zmarłych w ciągu kilku następnych dni z ran, w straszliwej męce i zabijanych na raty chorobą popromienną. Niektórych trawi ona do dziś. Nie zostaną nigdy wyleczeni. „Grubas" był istotnie gruby, jakby z wielkim brzuchem, zwężony z przodu, cienki z tyłu, przed lotkami. Zabił około siedemdziesiąt sześć tysięcy. A potem również dniami i latami kontynuował dzieło śmierci w organizmach ludzi. Ofiar śmiertelnych padło w Nagasaki łącznie około dwustu tysięcy. Mniej więcej tyle samo co w Hiroszimie. Fotografie tych bomb naturalnej wielkości wiszą w muzeach w Hiroszimie i Nagasaki.

Muzeum w Hiroszimie już zwiedziłem. W tutejszym będę po południu.

A teraz stoję przed kapliczką i słucham objaśnień brata Sergio (tak zwracają się doń Japończycy, ale w istocie ma na imię Sergiusz; Sergiusz Pesiek, Polak, cieśla spod Zduńskiej Woli). Jest to istotnie opowieść o cudownym ocaleniu.

Bowiem, gdy w kilka zaledwie miesięcy po przybyciu Ojca Kolbe do Nagasaki nakład „Rycerza Niepokalanej" osiągnął 18 000 egzemplarzy, a całej pracy redakcyjnej i drukarskiej nie sposób było zmieścić w dwu maleńkich pokoikach w Oura, Ojciec Maksymilian postanowił zakupić kawałek ziemi i wybudować kościół Niepokalanej oraz dom na drukarnię, redakcję i mieszkanie. Brat Zeno, który zajmował się sprawami bytowymi małej wspólnoty (było ich wtedy pięciu) znalazł teren w centrum, w Urakami. Tam, gdzie potem nie ostał się żaden dom. Ale Ojciec Kolbe już wtedy myślał o założeniu także seminarium, o rozroście całej misji i pragnął znaleźć teren większy, gdzieś na ustroniu, w ciszy, no i tańszy niż w śródmieściu. Poszukiwania zawiodły za miasto, na zbocza góry Hiko. Była tam spora działka, na ostrym stoku, porośniętym dzikim lasem, w pobliżu tylko dwa cmentarze, odludzie, w dole rzeka ze źródlaną, zdrową wodą.

Drugiego marca 1931 roku, to jest w szóstym roku Showa, bracia zakupili ten teren. Miał wielkość 6600 tsubo i kosztował 6650 jenów (tyle co teraz doba w tanim hotelu). Potem jeszcze dokupili 400 tsubo ziemi za 340 jenów (tyle co dziś butelka piwa, ale wtedy to były wielkie pieniądze, przysłane z Niepokalanowa). A potem jeszcze parę poletek, aby urządzić tę Drogę Matki Boskiej i jej Grotę, ku której zmierzamy. Całość kosztowała 6990 jenów i objęła 7000 tsubo.

Brat Sergiusz wszystko to dokładnie pamięta, jak dziś, a ja to zapisuję w notesie posługując się niebieskim, nowoczesnym urządzeniem piszącym firmy Mitsubishi (nie znałem tego dotąd, połączenie pióra z długopisem, ale ani pióro, ani długopis, a w efekcie niezwykła lekkość stawiania liter) i patrzę na tego niskiego, krępego zakonnika, o twarzy jakby ulepionej z surowej gliny ręką energicznego rzeźbiarza, twarzy z ciepłym, serdecznym uśmiechem, człowieka o wielkiej prostocie, skromności zachowania i mowy. Odkrywam tajemnicze dostojeństwo w tym cieśli, który przyjechał tu z dalekiej Polski, aby wybudować dom, kościół, potem klasztor, a potem szkołę dla japońskich dzieci. Pokazuje mi gospodarskim gestem leżące w dole dachy, mówiąc jak to po kolei budował sam, a właściwie z paroma miejscowymi robotnikami, stare, drewniane budynki, które dziś zaczęto zastępować nowoczesnymi, murowanymi.

— I proszę pana, wstyd powiedzieć, nawet tam, gdzie chodzi się samemu, oni zakładają takie ogrzewanie, podgrzewane elektrycznie deski, żeby w zimie mieć komfort. Co by na to powiedział nasz Ojciec, taki wielki miłośnik ubóstwa? — Brat Sergiusz mówi, jak wszyscy tutaj, po prostu „bomba", i mówi także po prostu „nasz Ojciec", to znaczy: Ojciec Maksymilian Kolbe.

Więc ostatecznie Ojciec Kolbe założył siedzibę, japoński Niepokalanów, tutaj, w dzielnicy Motokawachi, w miejscu zwanym Hongochi-machi. (Taka jest pisownia angielska; angielska wymowa jest „Hongoczi-maszi", ale japońska wymowa jest nieco inna, bardziej miękka „Hongoci-masi").

Hongochi-machi leży na zboczu góry Hiko, ale naprzeciw ma również górę i obie te góry tworzą razem wielki wąwóz, wielki, bo odległość między

szczytami wynosi może kilometr, może więcej, a na dnie wąwozu, w dolinie, płynie rzeka. Te góry są wysokie na około 300—350 metrów nad poziom morza, no a morze jest właśnie u ich stóp. Nagasaki jest portem.

I teraz dochodzimy do najważniejszego. Uwaga. Zatoka Nagasaki ma kształt przeciętej na pół gruszki. Węższą stroną i ogonkiem skierowanej w morze. Wpływa się do niej pomiędzy wyspami. Są to porośnięte lasem strome, wystające z wody góry. Potem basen się rozszerza, po lewej są ciągnące się kilometrami doki i nabrzeża największej bodaj na świecie stoczni koncernu Mitsubishi; tego samego, który wyprodukował moje niebieskie pióro-długopis. Jest tam także port wojenny, po prawej port handlowy, na wprost port pasażerski. Po lewej, zaraz za stoczniami, teren znów ostro piętrzy się, jest tam wielka góra z nadajnikami radiowymi i telewizyjnymi, po prawej też góry, ale łagodniejsze, natomiast na wprost, za szerokim, obłym zakończeniem gruszki-portu, teren podnosi się z dwóch stron tylko nieznacznie, tworząc łagodne przewężenie i zaraz dalej otwiera się wielka, prawie płaska, wielokilometrowa dolina, z dala otoczona z trzech stron górami.

A wąwóz wiodący do Hongochi-machi? Od portu, nie licząc innych małych, odchodzą w bok dwa wielkie wąwozy, lub podłużne doliny. Obie w prawo. Otóż Hongochi-machi leży w drugiej, licząc od środka miasta, dolinie, która w dodatku po kilkuset metrach od portu skręca ostro. Powstaje wielkie kolano, tak że z samego Niepokalanowa nie widać zabudowy śródmieścia! Ani portu! Śródmieście i port są zasłonięte podwójnym wałem gór. Fragment centrum można zobaczyć dopiero wtedy, gdy się wejdzie wyżej na górę Hiko i stanie właśnie tu, tuż

przy Grocie Matki Boskiej. Centrum miasta okala zatokę i port. A w tej wielkiej płaskiej dolinie, na wprost zatoki, jest całe miasto, wielkie, rozległe, liczące w chwili wybuchu bomby około czterystu tysięcy mieszkańców. Teraz dwa razy tyle.

Bomba była wycelowana dokładnie na ratusz. Miała zburzyć centrum, port, stocznie, obiekty wojskowe. Ale z południa wiał silny wiatr i bomba została zniesiona około 400 metrów na północ, wybuchając nad tą częścią miasta, która leży w owej płaskiej, rozległej dolinie, otoczonej z trzech stron górami. Od epicentrum wybuchu Niepokalanów został więc oddzielony dwoma grzbietami gór! Leży bowiem, powtarzam, w drugiej, licząc od tej części miasta, dolinie. Podmuch nie dotarł tu bezpośrednio, a jedynie kanałem załamanej pod kątem doliny. Zawaliła się od tego tylko jedna boczna ściana jednego z domów. Wszystko inne ocalało. Nie było pożaru. Nie było potwornego ciśnienia. Nie było też — opadów radioaktywnych. Wiatr gnał je dalej na północ. Równolegle do doliny.

W czasie wybuchu w Hongochi-machi było tylko dwóch braci i kilkudziesięciu uczniów. Nikt nie został ranny. Inni bracia, jako cudzoziemcy, zostali na tydzień przedtem internowani.

Wszyscy ocaleli. Wszystko tu ocalało. — Ojciec Kolbe uchronił nas przed bombą, mówią dziś bracia zakonnicy.

Dotknięcie piekła

Bomba, która nie zniszczyła japońskiego Niepokalanowa w Hongochi-machi, zmiotła z powierzchni ziemi całą północną część miasta; straszliwy pod-

much ciśnienia i gorąca powalił także wszystkie mniejsze, słabe domy centrum, dotarł do portu i stoczni. Bomba wybuchła na wysokości 600 metrów, wprost pod dachem katolickiej katedry. Przy konfesjonale klęczał penitent, we wnętrzu konfesjonału siedział ksiądz. Nie wiem czy wypowiedział już słowa absolucji. Ale wiem, że na pewno obaj — w tej jednej straszliwej chwili — poszli wprost do nieba. Tu zaś, na ziemi, ich ciała zostały unicestwione. Zostały spalone i natychmiast wyparowały. Jak tysiące innych. Bo tysiące zostały spalone. Tysiące zmiażdżone. Tych, którzy znajdowali się dalej, niż dwa kilometry, żywioł powalał, odzierał z ubrań, uderzał odłamkami murów, kamieni, żelaza uniesionymi przez podmuch i zamienionymi w pociski. Żar przeszywał ludzi. Ogień wybuchał pod stopami. Rozwierało się piekło.

Najbardziej wstrząsający eksponat w Muzem Bomby w Hiroszimie to rozwieszone na bambusowym manekinie szczątki munduru małego ucznia. Młodzież szkolna i studenci byli w Japonii w czasie wojny zmilitaryzowani. Chodzili w mundurach. Z tego pozostał jasnozielony strzęp. Bez rękawa, tylko z kawałkiem pleców, poza tym ochłapek czapki, jeden owijacz, jeden but, we wszystkim dziury od odłamków. W kieszeni — stopiony celuloid okładki dowodu tożsamości. I wszystko to takie straszliwie małe, miniaturowe, dziecinne. Dziesięcioletni żołnierz. Dziecko — ofiara całopalna.

Takie muzea są i w Hiroszimie i w Nagasaki. Są tam mapy plastyczne terenu katastrofy, nad którymi wiszą czerwone kule oznaczające miejsce wybuchu bomb. Są tam dokumenty, fotografie, strzępy ubrań, różne przedmioty codziennego użytku, spalone wewnątrz kasy pieniądze, stopione lustro fryzjerskie, powykręcane sztućce. I kawał stopnia z gmachu

banku rolnego w Hiroszimie, na którym widnieje ciemny ślad człowieka, unicestwionego tu, spalonego i zamienionego w parę. W jednej chwili wdrukowanego w kamień. I podobny fragment ściany domu w Nagasaki, przed którą stał człowiek. Na ścianie został jakby jego cień. Ciemny, zamazany ślad. Pieczęć piekła.

Nie można w tych miastach nie pójść do tych muzeów. Nie można nie chodzić po nich ze ściśniętym sercem. Nie można nie zobaczyć katedry bomby w Hiroszimie — jak zowią zachowaną jako pomnik — ruinę banku rolnego z nagą żelazną kopułą, odartą z dachu, z połamanymi żelaznymi belkami, z połupanymi ścianami. Albo ceglanego złomu ściany katedry w Nagasaki — też zachowanego w tym mieście jako pomnik.

I naturalnie Europejczyk, oglądając to wszystko, ma w oczach podobnie odarte z dachów konstrukcje wież pałacu królewskiego, przez które jeszcze teraz prześwieca księżyc w Dreźnie. A Polak jeszcze powołuje na pamięć to, że liczba zabitych od bomby i zmarłych wkrótce potem z ran, tak w Hiroszimie, jak i w Nagasaki, równa jest liczbie ofiar Powstania Warszawskiego. Chociaż wiadomo, że Japonia była wtedy, w czas wojny, agresorem.

Wojenna przeszłość tkwi w pamięci ludzi. Spoczywa gdzieś na dnie tak płytkim, że wydobywa się na wierzch każdej dłuższej w Polsce czy w Japoni prowadzonej rozmowy. Patrząc teraz z małego placyku przed grotą Matki Boskiej (na skale stoi figura będąca kopią Niepokalanej z Lourdes), patrząc w dół ku miastu, którego wycinek tylko widnieje za górskim siodłem, tam gdzie dolina Niepokalanowa styka się z doliną Urakami, mam poczucie jakbym patrzył ze skały ocalenia ku morzu zagłady.

To tam, w jednym błysku, żółtopomarańczowym, który natężeniem przewyższył sierpniowe słońce, to tam, w grzmocie i wichrze, w waleniu się ścian, drzew i słupów, w jednej chwili powstał ogromny cmentarz.

I choć wiem, że właśnie ta bomba, właśnie ta rzucona na Nagasaki zakończyła definitywnie Drugą Wojnę Światową, oszczędzając zapewne życie setek tysięcy innych ludzi — i Japończyków i Amerykanów; choć wiem, że mieszkańcy tego miasta zapłacili w jakiś sposób cenę za to, że i oni najpierw popierali, a potem tolerowali zbrodniczy rząd swego kraju; choć wiem, że jest na świecie wiele miast i wiele narodów srożej a niesprawiedliwiej dotkniętych, a między nimi i mój naród — to jednak nie mogę się oprzeć myśli, że właśnie tu ludzkość została zraniona szczególnie boleśnie, że właśnie tu ludzie ludziom zgotowali szczególnie okrutny los.

Drugi Niepokalanów

Zmówiliśmy z bratem Sergiuszem dziesiątek różańca stojąc przed figurą Niepokalanej. Schodzimy krętą ścieżką z powrotem w dół. Brat Sergiusz patrzy gospodarskim okiem. Od paru lat on właśnie, mając za zadanie opiekowanie się tym małym Lourdes, grabi ścieżkę i usuwa mech z kamiennych stopni, pielęgnuje kwiaty, czyści kapliczki. Brat Sergiusz ma 77 lat i dano mu tę pracę jako lżejszą, na powietrzu, ale przez całe swoje dotychczasowe życie był cieślą, kucharzem i drukarzem. Ojciec Kolbe sprowadził go tu z nowicjatu, z polskiego Niepokalanowa, gdy zamierzył większe prace budowlane, bowiem brat Sergiusz był synem cieśli i cieślą. Przybył do Nagasaki 13 września 1931 roku i

już pozostał. Polskę odwiedził od tamtego czasu do dziś tylko dwa razy, drugi raz całkiem niedawno temu. Był tylko w Niepokalanowie, czyli jak mówi, u siebie w domu. I na Jasnej Górze. A poza tym cały czas tutaj, w Japonii. Dziś tzn. 6 grudnia 1981 roku mija dokładnie 50 lat od przybycia tutaj.

Przejechał koleją przez Syberię i przez morze statkiem z Korei. Razem z bratem Grzegorzem. Kogo zastali w Nagasaki? Zaraz, był oczywiście nasz Ojciec, był brat Zeno, który zajmował się zakupami, był też ojciec Metody i brat Roman...

— Czy to ten sam, którego poznałem w Tokio? — wtrącam.

— Tak, ten sam, parę lat temu przeniósł się do stolicy. Był jeszcze brat Marian... Ale to się tak nie da. Żeby wiedzieć wszystko trzeba zacząć historię od początku...

Schodzimy serpentynami ścieżki ku białemu dachowi kościoła a brat Sergiusz zaczyna swoją opowieść, tym razem od początku, i ona trwa, gdy zwiedzamy potem kościół i drukarnię i redakcję „Rycerza Niepokalanej". Jest to opowieść o wierze, która góry przenosi, o pracy tak ciężkiej, że prawie niemożliwej do wykonania, o głodzie i umartwianiu, o posłuszeństwie i zawierzeniu sprawie. Brat Sergiusz snuje tę opowieść głosem spokojnym, czasem wydaje się jakby zażenowany. Rzadko mówi o sobie, częściej o Ojcu.

Ojciec Kolbe wylądował w Nagasaki 24 kwietnia 1930 roku. Byli wraz z nim bracia Zeno i Hilary. Statek „Szanghaj Mam" przybił do nadbrzeża o pierwszej po południu. Mieli dwie walizki na trzech. Poszli zaraz do najbliższego kościoła. I dziś jak wtedy, stoi przed nim duża figura Matki Boskiej. Dla Ojca Kolbe był to znak. Powiedział: „Matka

Boża pierwsza wyszła nas powitać na tej ziemi. Nasza praca tutaj przyniesie plon stokrotny".

Modlili się najpierw przed tą figurą, potem przed Najświętszym Sakramentem. Potem poszli na plebanię. Okazało się, że to siedziba biskupia. Ale gospodarza nie było w domu i musieli na niego czekać przez 10 dni, śpiąc w pokoiku wynajętym naprzeciw, modląc się i poszcząc. Z pobożności i z konieczności.

Biskup Haysaka był zaskoczony niezwykłymi gośćmi z dalekiego kraju, a tym bardziej ich prośbą: chcą wydawać po japońsku gazetę. I to zaraz. Żaden z nich nie zna języka, nie mają do dyspozycji żadnych urządzeń drukarskich, w ogóle nie mają właściwie nic. Wahał się więc biskup.

W rozmowie okazało się jednak, że jeden z ubogich przybyszów jest doktorem filozofii i doktorem teologii. Akurat brakowało profesora teologii w miejscowym seminarium. To zadecydowało. W zamian za podjęcie wykładów Ojciec Kolbe uzyskał zezwolenie na osiedlenie się wraz z braćmi w diecezji Nagasaki. Otrzymał też skromną gażę i pokoik. Prośbę o zezwolenie na druk gazety biskup na razie oddalił. Zresztą uważał ją za zupełnie nierealną.

Brat Sergiusz opowiada tak: „Ojciec z natchnienia Ducha Świętego nie nalegał, tylko postanowił jeszcze żarliwiej się modlić. Wśród doradców biskupa był stary kapłan, szczególny czciciel Niepokalanej. Rozpoznali się w duchu z Ojcem. Modlili się razem. I ów kapłan natchnął serce biskupa przychylnością wobec prośby Ojca. I biskup zezwolił.

Można było zacząć wydawać pismo. Ojciec Kolbe, nie przerywając wykładów, które zajmowały mu cały ranek, napisał wszystkie artykuły do pierwszego numeru, zapełniając w sumie 16 stron druku, po łacinie, po włosku, po niemiecku, po angielsku i po

francusku i poprosił seminarzystów o tłumaczenie na japoński. Sam pomagał w przekładaniu, objaśniając i pomagając zrozumieć obce języki; nikt z seminarzystów nie znał żadnego biegle, Ojciec nie znał biegle japońskiego.

— W czasie moich pobytów w Japonii — myślę, słuchając opowieści — nie zetknąłem się nigdy wśród Japończyków z nikim (łącznie z paroma tłumaczami) kto by rzeczywiście dobrze posługiwał się jakimś europejskim językiem. Czemu? Starsze pokolenie miało przecież amerykańską okupację, a teraz ma wielki handel z Ameryką. Młodzi przejęli amerykański styl ubierania się, narodowym sportem stał się baseball, wszyscy czytają komiksy, oglądają amerykańskie filmy. Ale najwyraźniej nie uczą się języków.

Bardzo rzadko, jak na potrzeby cudzoziemca, znajdzie się gdzieś mały angielski napis, naturalnie pod wielkim japońskim. W punktach turystycznych, w muzeach brak folderów czy choćby najskromniejszej informacji w obcych językach. Tylko w metrze i na stacjach kolei państwowej są małe nazwy stacji po angielsku. Bo na kolejach prywatnych są już tylko znaki japońskie. Nieczęsto napotka się też kartę w restauracji z tekstem obcojęzycznym. Sytuację ratuje obyczaj wystawiania dań w witrynach; obyczaj ten nie funkcjonuje jednak jako gest przyjaźni i otwarcia, a raczej jako przejaw rzeczowej informacji i reklamy; notabene te wszystkie dania są tylko naturalistycznymi atrapami produkowanymi przez wyspecjalizowaną firmę: sztuczne kotlety, sałatki, jarzyny, sztuczna zupa i sztuczny ryż.

Brak niejapońskich oznaczeń na toaletach i w publicznych łaźniach, niejapońskich komunikatów i tablic informacyjnych na prowincjonalnych lotniskach sprawia, że dominuje w umyśle Europejczyka wra-

żenie ogromnej, nieprzekraczalnej bariery językowej. Pozostają rozmowy na migi, bądź tłumacz, któremu trzeba wiele rzeczy powtarzać i który najwyraźniej przekłada na japoński nieściśle, co widać z reakcji rozmówców i toku rozmowy.

Jakże dobrze wyobrażam sobie kłopoty językowe Ojca Kolbe po jego przybyciu do Japonii.

Załatwienie czegokolwiek w Japonii przy pomocy tłumacza było zawsze trudne i czasochłonne, również dlatego, że tłumacz nie tylko przekazywał tekst, ale co chwila wdawał się w dyskusję ze swoim japońskim rozmówcą, ten zaś nigdy nie dawał odpowiedzi jasnej i prostej, ale raczej dopytywał o przyczynę takiej to a takiej prośby, zastanawiał się nad skutkami jakiegoś działania; gadał w kółko zamiast sprawę posuwać naprzód. Nie znam specyfiki języka japońskiego i poza paru słowami jest on dla mnie zamknięty tak, jak był. Oswoiłem się tylko z jego swoistą, jakby pełną krótkich okrzyków, melodyką. Ale odnoszę — może mylne — wrażenie, jakby Japończyk zużywał znacznie większą masę dźwięków, niż indoeuropejczyk, dla wyrażenia tej samej informacji. Język japoński ma ogromne bogactwo odcieni znaczeniowych. Nie można powiedzieć tylko: „rano". Musi to być „ranek po wschodzie słońca", „jasny ranek", „pochmurny ranek", „dobry ranek", „początek szczęśliwego dnia" itp. Myśl i uczucie wyrażane są z dużą subtelnością i precyzją, ale zarazem ilość informacji jest większa i informacja jest zawsze złączona z interpretacją, nastrojem mówiącego, dynamiką mowy, jego stosunkiem do rozmówcy, celem wypowiedzi, „podtekstem". Inaczej się więc wyraża myśli, inaczej też buduje się wyrazy.

Wracajmy jednak do pisma, które zaczął wydawać Ojciec Kolbe. Pierwszy numer wydrukowano,

oczywiście za opłatą, w jednej z miejscowych małych drukarni. Nakład wynosił 10 tysięcy egzemplarzy. Z tego 8 tysięcy bracia rozesłali imiennie do mieszkań katolików w Nagasaki i do wszystkich katolickich parafii w Japonii. 2 tysiące rozsprzedali osobiście na ulicach.

Ten pierwszy japoński numer „Rycerza Niepokalanej" ukazał się 28 maja 1930 roku To historyczna data w podboju Japonii przez Polskę...

Upłynął zaledwie miesiąc od przybycia braci do Nagasaki.

I tak się to wszystko zaczęło.

Potem w czerwcu zakupiono starą, ręczną maszynę drukarską. W lipcu maszynę do cięcia papieru. W sierpniu przybyło jeszcze czterech braci i mała wspólnota liczyła już siedmiu polskich mnichów, w tym dwóch już podkształconych w japońskim. W październiku osiągnęli nakład 18 tysięcy. Odbijali i cięli papier ręcznie. Ojciec Kolbe pisał i ślęczał z tłumaczami. Za cały klasztor, redakcję i drukarnię służyły im dwa pokoiki. Skromne zasiłki przesyłane z Polski (złotówka była wtedy wymienialna i stała wysoko) poświęcali na druk. Ograniczali zaś do minimum wydatki na jedzenie.

— Choć zdarzały się i dnie tłuste — wtrąca brat Sergiusz. — Raz pamiętam, nasz katolik i rzeźnik, odwiedził nas i wzruszony naszym głodowym posiłkiem przyniósł nam wielki kawał wołowiny.

Nie widzieli tyle mięsa od przyjazdu do Japonii. Brat Hilary, który pełnił funkcję kucharza, stracił zupełnie głowę, chciał od razu upiec wszystko, ale nie miał dość dużego garnka. I akurat w tym momencie zaszedł do nich biskup. Zdążył już ocenić ich oddanie sprawie Niepokalanej i surowość życia jakie prowadzili. A tu szykowała się uczta. Wiec brat Hilary próbował ukryć mięso. Na próżno. Bi-

skup zdziwił się. Sądził, że poszczą i głodują, a tu tyle wołowiny na obiad. Brat Hilary zapomniał nawet tych paru japońskich słów, które znał. Nie potrafił nic wyjaśnić. Szczęśliwie nadszedł Ojciec i rozładował sytuację. — Ale brat Hilary — kończy brat Sergiusz — długo chodził strasznie nieszczęśliwy i nie dał się pocieszyć nawet biskupowi.

Odwiedzało ich coraz więcej katolików. Byli najczęściej ubodzy, więc łatwo nawiązywali kontakt wzajemny. Ale pracą misjonarską wśród wyznawców innych religii też się zajmowali Tak wtedy jak i dzisiaj.

W Japonii dominują buddyzm i shintoizm. Ale są one dziś mniej religiami, a bardziej tradycjami. Często w jednej rodzinie urządza się chrzty i śluby katolickie, bo są modne i „zachodnie", ale te same pary biorą drugi ślub w obrządku shinto, a pogrzeby przeważają w obrządku buddyjskim. Shintoizm i buddyzm nie wykluczają się zresztą — raczej uzupełniają i koegzystują. W ogóle coraz mniej ludzi w Japonii zajmuje się tymi sprawami. Coraz mniej jest w życiu miejsca na religię, choć zarazem, w miarę wzrostu bogactwa rośnie też tradycjonalizm obyczajów i wzorców zachowań. Więc — paradoksalnie — więcej się praktykuje, a mniej żyje tą wiarą. Jakąkolwiek. Może jedynie katolicy przechowują jeszcze w Japonii ten mistyczny depozyt?

Wedle buddyzmu siedliskiem duszy jest brzuch. Lecz czym jest dziś buddyzm? Czym był, nie wiem. Czym jest? W nocnej szafce w każdym hotelu zawsze dwie książki. Nowy Testament i Wskazania Buddy. Obie — wyjątkowo — po japońsku i po angielsku. Buddyzm jest — a może był zawsze, zbiorem wskazówek i praktycznych porad, jak sobie układać życie, aby było spokojne, dostatnie, wygodne, bezkonfliktowe. Dla młodych dzisiaj bud-

dyzm w ogóle nie istnieje jako religia. Oblicza się, że jest w Japonii około 50 milionów buddystów i tylu shintoistów. Shintoizm — wyznanie starojapońskie — jest wcześniejszy od buddyzmu. Cechowała to wyznanie dawniej naiwna i prosta, całkowita afirmacja życia. Animizm i politoizm. Shintoista czuł się wtopiony w naturę, jak ona sama podlega cyklowi narodzin życia i śmierci.

W VI wieku shintoizm został skonfrontowany z buddyzmem, przywiezionym przez zaborców z kontynentu azjatyckiego i akcentującym przemijalność i nicość istnienia. Obie religie i doktryny zaczęły się przenikać i uzupełniać, a nie zwalczać. Obie podlegały przemianom. Shintoizm został uzupełniony relatywizmem i duchowością. Buddyzm dowartościował samo istnienie, którego smakowanie uznano za sens i cel życia człowieka. Buddyzm stał się stopniowo doktryną i postawą afirmacji tego, co jest. I tylko tego. Z kolei shintoizm, będąc starszy, związany z miejscową tradycją, utożsamił się z kultem samej ziemi japońskiej, ojczyzny, stał się ojczyźniany, patriotyczny, cesarski. Cesarz pochodzi od bogini słońca Amaterasu, jest potomkiem bogów, jest bogiem. Do roku 1946 był uważany za istotę nadludzką. Shintoizm uosabiał więc w Japonii tradycję i wspierał, uzasadniał patriarchat; był feudalny, potem imperialny i imperialistyczny, dziś jest ekspansjonistyczny.

W 1979 roku przybyłem do Tokio akurat 15 sierpnia, w dzień święta narodowego — rocznicę zakończenia II wojny światowej, rocznicę kapitulacji, a zarazem święto bohaterów narodowych — tych, co polegli za ojczyznę. Dziwny zbieg okoliczności. Niezwykły traf: w dniach 13, 14 i 15 sierpnia wypada w Japonii doroczne święto zmarłych. Celebro-

wane zgodnie przez buddystów, shintoistów i laików. Przez wszystkich Japończyków bez różnicy.

Mój przewodnik, profesor, mówił: shintoizm to dziś po prostu kult Japonii. Japończycy są jedną wielką rodziną. Jej głową jest cesarz. Taka sama jest struktura każdej rodziny, w której obręb wlicza się wszystkich krewnych, a której głową jest najstarszy żonaty mężczyzna. Tak samo jest w każdej fabryce czy biurze. W każdej grupie społecznej jest głowa, ojciec, patron, szef. Odbiera on cześć zabarwioną czcią religijną. Jest na szczycie piramidy. Poniżej są jego podwładni. Zhierarchizowani. Najbliżej bezpośredni następca czy zastępca. Następcą głowy rodu jest najstarszy syn. Córki są wyłączone i ze czci i z dziedziczenia. Jeśli najstarszy syn się nie ożenił, to młodszy, żonaty dziedziczy pozycję, dom, warsztat, majątek. Właściwie wszystko. Pozostałe dzieci muszą odejść z domu i same szukać swego miejsca. Awans w przedsiębiorstwie, w redakcji, w partii następuje tylko szczebelek po szczebelku. Wedle starszeństwa, stażu pracy, dotychczasowej pozycji. Bez przeskoków. Od tej reguły zdarzają się niezmiernie rzadkie wyjątki. Dlatego nie ma w Japonii np. młodych przywódców politycznych. Aby zostać premierem, trzeba być szefem najsilniejszej frakcji rządzącej partii. Aby zostać szefem frakcji, trzeba doczekać, aby swoje kariery i kadencje odbyli przedtem starsi wiekiem.

Zwiedzaliśmy tę świątynię shintoistyczną wraz z pielgrzymami podróżującymi wzdłuż i wszerz Japonii z okazji święta zmarłych. Yasukuni to najważniejszy przybytek shintoizmu. Leży w pobliżu pałacu cesarskiego. W południe, w olbrzymiej hali, nie opodal świątyni przemawiał do tysięcy ludzi cesarz. Sławił pokój i sławił bohaterów wojny: poległych, zmarłych, zabitych. W tych dniach każdy kto

może wędruje też do swojego miejsca urodzenia, aby tam spotkać się z duchami przodków. Dla duchów jest jedzenie, picie, tytoń. Opowiada się im, co się dzieje w rodzinie. Ale tylko dobre wiadomości. Zmarli potrzebują pociechy. Ich los jest, nawet dla wierzących, dość tajemniczy i niepewny. Może smutny. Ale zmarli ze swej strony opiekują się rodziną. Bohaterowie polegli za ojczyznę opiekują się całym narodem. Co robią poza tymi dorocznymi spotkaniami zmarli? Nie wiadomo. I shintoizm i buddyzm niewiele mówią o sposobie istnienia poza grobem. Żywi odpędzają myśl o własnej śmierci. Żyje się tu i teraz. Śmierć jest przykrą koniecznością. Nie uniknie się jej. Ale po co o niej rozprawiać?

Wieczorem nad rzekami zgromadzą się ludzie z małymi latarniami i świecami umieszczonymi na papirusowych stateczkach. Puszczą je na wodę. W ten właśnie sposób zmarli odpłyną w dół rzeki. Ku morzu. Ku otchłani.

A więc shintoizm i buddyzm. Wyznania i filozofie uzupełniające się i zharmonizowane. A gdzie jest miejsce dla katolicyzmu? Nie ma go. Nie było go nigdy. Katolików jest we współczesnej Japonii 400.000. Mniej niż pół procentu całej ludności. Znikomy margines. Trudno jest się doszukać katolickiego kościoła.

W Sapporo, w pewną niedzielę, z mapą miasta w ręku, szukałem kościoła. Sapporo ma łatwy plan. Równolegle do siebie poprzecinane aleje i poprzeczne, pod kątem prostym, ulice. Jak Manhattan. Istotnie Sapporo, miasto bardzo świeżej daty, zbudowane w latach 70-tych XIX wieku, wzniesione zostało wedle wzorów amerykańskich. Taki plan miasta, wedle którego wytyczono ulice w setkach i tysiącach miast USA, to zresztą wynalazek nie

amerykański, ale bardzo stara chińska metoda wznoszenia miast. Łatwo odnalazłem właściwe skrzyżowanie z adresem kościoła. Ale był tam tylko pusty plac. Pomyślałem, że się pomyliłem. Zacząłem krążyć po okolicznych rogach. Nie, jednak adres się zgadza. Trzy „bloki" alej na wschód od głównej alei. Dwa „bloki" ulic na północ od tego banku. Na mapie jest kościół. Ale go nie ma! Dopytałem się w hotelu. Był. Był tam kościół w okresie olimpiady. Wtedy go wzniesiono. A potem rozebrano. Nie był potrzebny.

Sapporo jest na najdalszej północy. Nagasaki na samym południu archipelagu. Nagasaki nie można sobie wyobrazić bez kościołów. Bez katolików. Także, jednak, całej Japonii. Katolicyzm zajmuje w świadomości zbiorowej miejsce nieproporcjonalnie ważne w stosunku do ilości wiernych. Potwierdziła to wizyta Papieża. Katolicyzm interesuje. Fascynuje. Dlaczego? Pytałem. Starałem się zrozumieć. Te powody są paradoksalne. Bo z jednej strony katolicyzm fascynuje jako „obcy". Jako produkt Europy i rasy białej. Nauka o zmartwychwstaniu i życiu po śmierci jest sprzeczna z japońską filozofią i mentalnością. Odwiecznym, od wieku XVII, odruchem wobec katolicyzmu, jest w Japonii wrogość, odrzucenie, odraza. Prześladowania chrześcijan były tu tak bezwzględne i okrutne, jak mało gdzie na świecie. Ukrzyżowani męczennicy z Nagasaki, w tym ukrzyżowane dzieci, świadczą o tym najdobitniej. A z drugiej strony właśnie bezwzględność i okrucieństwo wizji ukrzyżowanego Chrystusa mogą tu rezonować w sposób szczególny. Na jakimś bardzo głębokim poziomie mogą być przyjęte i przeżyte z niezwykłą intensywnością właśnie w oparciu o miejscowe wzory kulturowe. Ale jest jeszcze — świadczą o tym fakty: powodzenie misji Ojca Kolbe,

rozgłos dzieł brata Zeno, szalony sukces wizyty Jana Pawła II — fascynacja katolicyzmem jako wizją przezwyciężenia ślepych ulic i sprzeczności religii, kultury i cywilizacji japońskiej. Na tej drodze katolicyzm pociąga nie poprzez krzyż, ale przez słowa nadziei, ulgi i otuchy, przez dzieła miłosierdzia. Te głoszone w Ewangelii i te spełniane przez brata Zeno Żebrowskiego.

Brat Zeno rozpoczął swą samodzielną drogę w 1945 r. Zaczęło się od tego, że niedługo „po bombie" ktoś przyprowadził do klasztoru w Motokawachi troje osieroconych dzieci. Organizował sierocińce. A potem domy starców. Bezdomnych. Stał się opiekunem biednych i opuszczonych. Misjonarzem i apostołem.

Brat Sergiusz kontynuuje swą opowieść:

— W dwóch pokoikach w Urakami nie można było zwiększyć nakładu „Rycerza Niepokalanej" i stąd zrodził się pomysł wybudowania własnego domu, na własnym terenie. A ponieważ Ojciec Kolbe myślał o rozszerzeniu tu pracy misyjnej, o założeniu dużego klasztoru i seminarium, zakupiono teren tu, na stoku góry Hiko, w Motokawachi, poza miastem. — Potem miasto nas ogarnęło — ciągnie brat Sergiusz — ale wtedy, pół wieku temu, było tu odludzie. Zaraz też bracia przystąpili do budowy dużego drewnianego domu. Brat Sergiusz pamięta, że miał on 24 metry długości i 7 szerokości. Była tam mała kaplica, refektarz, drukarnia, gabinet pracy Ojca i sypialnia na stryszku. Do budowy brat Zenon (Japończycy nazwali go Zeno i tak już zostało, zna go dziś pod tym imieniem cała Japonia) wynajął cieśli i stolarzy z Nagasaki, co wywołało protest majstrów z Motokawachi. Trzeba było zatrudnić obie grupy. Przysporzyło to kłopotów i kosztów. I zapewne właśnie wtedy Ojciec Kolbe postanowił

sprowadzić cieślę z Polski. Właśnie wtedy zapaść musiała decyzja o losie brata Sergiusza.

— Więc jak to było? — pyta. — Mieliśmy się doliczyć ilu nas wtedy było. Więc zacznijmy to jeszcze raz...

Najpierw przybyli Ojciec Maksymilian wraz z braćmi Zenonem i Hilarym.

Potem dołączyli Seweryn i Zygmunt, którzy zatrzymali się po drodze z Polski w Chinach, a także dwóch braci, przybyłych wprost z Polski z Ojcem Kolbe, który w lecie 1930 roku na krótko pojechał do kraju. Więc wtedy było już siedmiu.

W marcu 1931 przyjechali następni. Ojciec Metody i trzech braci. Razem 11 misjonarzy.

Ale na jesieni bracia Hilary, Zygmunt i Marian oraz Ojciec Metody musieli wracać. Nie wytrzymywali klimatu, skromnego, egzotycznego pożywienia... Zostało znów siedmiu. Właśnie wtedy, 13 września 1932 roku, przyjechali bracia Grzegorz i Sergiusz. Doliczyliśmy się.

— No i tak wreszcie doliczyliśmy się — powtarza brat Sergiusz. — Było nas wtedy dziewięciu.

W notatniku, który prowadzi latami, zapisał wzruszające słowa Ojca Kolbe, skierowane do nich na przywitanie:

Dziękuję Niepokalanej za przyprowadzenie tutaj dwóch nowych braci. Ta wielka radość pomaga mi zapomnieć o bólu wywołanym odjazdem innych braci. Oni także przybyli tu z kraju dalekiego na posługę misyjną w Japonii. Ich odjazd napełnił mnie smutkiem, mimo że spowodowały go choroby. Praca w Japonii nie jest naszą pracą. Nie jest też dziełem Niepokalanowa. Jest pracą samej Niepokalanej, a my jesteśmy tylko jej słabymi narzędziami. Nasza Pani usiłuje dokonać wielkiego dzieła przy pomocy naszej słabości, gdy zaś próbujemy działać

po swojemu nic się nie udaje. Nasza Pani używa nas nie wedle naszych wewnętrznych zalet, ale wedle miary miłości, wedle żaru naszej modlitwy i ofiary.

Początkowo brat Sergiusz przejął podwójne obowiązki — sekretarza Ojca Kolbe i kucharza. Ale wkrótce zaczął budować. Pod jego kierunkiem bracia wznieśli obszerny budynek klasztorny, drewniany, ale piętrowy, w połowie nawet dwupiętrowy — stał na stoku góry. Jego urządzenie było bardzo skromne. Bracia sypiali nadal tylko na matach. Mieli już jednak swoje cele. Pożywienie było skromne, na granicy głodu. Ale nakład „Rycerza Niepokalanej" wzrastał. Zakupiono dwie dalsze maszyny drukarskie. W grudniu 1932 roku „Rycerz" miał już 32 strony i 30 tysięcy nakładu.

Na wiosnę 1933 roku Ojciec Kolbe znów odbył podróż do Polski i na jesieni powrócił wraz z Ojcem Kornelem, wyznaczonym na nowego przełożonego w Nagasaki.

— W swojej pokorze — mówi brat Sergiusz — Ojciec chyba nawet nie odczuł tego, że już nie jest Superiorem, my wszyscy natomiast zostaliśmy uratowani...

— Uratowani? Od czego? Jak to?

— Widzi pan, Ojciec Kolbe dbał bardzo o modlitwę i o wydanie pisma. Nie znaczy to, że nie dbał o braci. Kochał ich. Ale sądził, że zawsze można zaoszczędzić na żywności, aby jeszcze trochę przeznaczyć na „Rycerza". Sam był bardzo słabego zdrowia. Gruźlik, dwukrotnie znajdował się na progu śmierci, ale nie łączył zupełnie sprawy zdrowia z jedzeniem. I wszyscy byliśmy doprawdy na granicy wycieńczenia. Ale nie skarżyliśmy się nigdy. Ci bracia, którzy odjechali — po prostu nie wytrzymali. My chcieliśmy wytrwać, ale sił było coraz

mniej. Ojciec Kornel przez kilkanaście dni przyglądał się naszej pracy i naszym posiłkom. Potem sam zajął się zakupami i doglądał kuchni. W niedługim czasie nasze zdrowie poprawiło się, ale nakład „Rycerza" przestał wzrastać, co okropnie martwiło Ojca Kolbe. Na szczęście krótko. Zaczęły się bowiem mnożyć listy czytelników i nowe zamówienia na abonamenty. Mnożyły się też datki i ofiary. Nakład zaczął znowu wzrastać i w 1936 roku osiągnął 64 tysiące. Wszystko na dwóch starych, ręcznych maszynach.

— A teraz proszę popatrzeć — mówi brat Sergiusz, oprowadzając mnie po supernowoczesnej drukarni, stojącej na poziomie najnowszych osiągnięć japońskiej technologii. — Teraz drukują tu znów tylko 30 tysięcy. Ojciec Kolbe na tych maszynach robiłby pół miliona...

Teraz japoński Niepokalanów jest wielkim ośrodkiem: jest kościół, drukarnia i redakcja, klasztory, szkoła, internat, seminarium. Wszystko białe, przestronne, nowoczesne budowle.

Ale można powiedzieć bez wielkiej przesady, że już w 1936 roku było podobnie. Tylko że wszystko było w drzewie.

Rok 1936 był ostatnim rokiem pobytu Ojca Kolbe w Japonii. Odpłynął do Europy 16 maja 1936 roku. W tym czasie mieszkało w japońskim Niepokalanowie 20 Polaków (ojców i braci), 8 Japończyków — nowicjuszy i 19 Japończyków — seminarzystów.

Ojciec Kolbe wyjechał wtedy, w 1936 roku, aby wziąć udział w zgromadzeniu prowincjonalnym. Chciał wrócić, ale przeczuwał odmienny los. Napisał z Szanghaju, z pokładu statku „Victoria":

Drodzy bracia moi, gdy statek wypływał z Nagasaki ogarnęły mnie przeróżne uczucia. Pomyślałem,

że może już was nie zobaczę na tej ziemi i poczułem coś ciepłego na policzkach.

Istotnie, już go nie zobaczyli. Został wybrany przełożonym Niepokalanowa w Polsce. O jego aresztowaniu dwukrotnym w czasie wojny, dowiedzieli się z listów. Potem, z wielkim opóźnieniem, nadeszła wiadomość o jego męczeńskiej śmierci w Oświęcimiu w 1941 roku. Ale brat Sergiusz nie mówi o tym używając słowa: śmierć. Mówi: poszedł do nieba.

Centrum Kosmosu

Nagasaki jest najbardziej katolickim miastem Japonii. Tu zaszczepił wiarę w jedynego Boga w połowie XVI wieku Św. Franciszek Ksawery. Tu 5 lutego 1597 roku poniosło śmierć krzyżową na wzgórzu Nishizaka 26 chrześcijan, sprowadzonych na kaźń z okolic Kioto, pierwszych z długiej listy japońskich męczenników (niedawno tych dwudziestu sześciu zaliczono w poczet świętych). Na wzgórzu Nishizaka stoi teraz ich pomnik i nowy kościół, jakby w hiszpańskim stylu Gaudiego. Wzruszająco brzmią wyryte na jego murach imiona: Święty Leon Karasumaru, Święty Kosma Takeya, Święty Paweł Suzuki...

W XVII, XVIII i XIX wieku chrześcijaństwo było w Japonii zakazane i karane straszliwymi torturami. Tliło się w podziemiu, aby ujawnić się i rozwinąć w wieku XX. Katolików jest dziś w Japonii zaledwie 400 tysięcy na 110 milionów ludności. Ale dzięki Ojcu Kolbe, a potem bratu Zeno, stali się znani i szanowani. Dowartościował ich ogromnie przyjazd Papieża — Polaka.

W jednym z muzeów w Kioto wiszą obrazy z XVI wieku. Przedstawiają lądowanie Hiszpanów.

Są wśród nich, najwyraźniej, i księża. Już wtedy rozpoczęła się chrystianizacja. A potem przyszła kara tortur za to, że nową wiarę przynieśli obcy. Długonosi.

W muzeum teatralnym na Uniwersytecie Waseda w Tokio — zbiór bardzo starych masek teatralnych. Są i maski z XVI wieku. Przedstawiają demony i diabły. Te diabły mają długie nosy i białe twarze. Są to twarze Europejczyków.

Stoję na przystanku autobusowym w centrum Tokio. Kolorowa Ginza rozpala neony, błyskają lampy, tysiączne reklamy i szyldy, światła. Tłum ludzi wychodzących z pracy. I nagle grupka dziwnych postaci. Wysocy, jasnowłosi, może Finowie, może Szwedzi? Ubrani po europejsku, luźno, jasno, ale coś mnie w nich strasznie śmieszy. Co?! Ach tak, czemu oni wszyscy mają takie długie, niesamowicie długie nosy. Rozglądam się wokoło. Otaczają mnie twarze płaskie. Czoło, czubek małego nosa i lekko wydęte usta tworzą prawie jedną linię, gdy się popatrzy z boku. En face te twarze są okrągłe, płaskie, czoła niskie, włosy nad nimi czarne, powieki jakby napuchnięte, oczy ciemne, jakby niezbyt szeroko otwarte, kości policzkowe wysoko pod oczami, usta duże. Obok dziewczyna z wyskubanymi i narysowanymi znacznie wyżej brwiami. Usta na skrajach ma zamalowane podkładem, a szminką wyrysowane inne usta — mniejsze. Chce widać upodobnić się w ten sposób do Europejki. Ale jest przy tym niska, krępa, prawie bez biustu. Wszyscy oni są jakby zwarci, mocno związani w sobie i leciutko pochyleni do przodu.

A te nosy grupki białych były przecież normalne! Żeby zobaczyć ich nienormalność musiałem pobyć w Japonii trzy tygodnie.

— Czy nie stanowiło dla was wielkiej przeszkody, że byliście biali?

— O tak — odpowiada brat Sergiusz. — Tutaj to wielki problem, ta wieczna nieufność do obcych. Trzeba było lat, aby to przełamać. Ale misjonarze mają na to sposób. Zawsze ten sam. Wykształciliśmy już kilkudziesięciu kapłanów — Japończyków. Teraz jesteśmy już prowincją japońską. Przełożonym jest Japończyk. I to właśnie oznacza pełny sukces misji. Rzucić ziarno. W miejscową glebę. Dopomóc mu wzrastać. Gdy wyda plon, usunąć się samemu. Japończycy są bardzo zamknięci. I dumni. Łatwiej przyjmują chrześcijaństwo od swoich.

W czasie mszy niedzielnej obecny byłem przy pierwszej Komunii: przystępowało do niej troje dzieci i jedna osoba dorosła, młoda kobieta. Zapewne nowo nawrócona.

— Ale nawróceń nie ma zbyt wiele — wyjaśnia rzeczowo brat Sergiusz. — Ja myślę — ciągnie — że pogaństwo jest tutaj bardzo silnie związane z patriotyzmem.

Mówi „pogaństwo" i „poganie", co brzmi dla mnie zaskakująco, dla niego zwyczajnie. Więc myślę o tych głębokich związkach chrześcijaństwa i kultury w Europie, już od tylu setek lat. I że tutaj są podobne związki miejscowych religii z kulturą tych wysp. Ale jest jedna różnica. Chrześcijaństwo i kultura Zachodu były zawsze otwarte, ekspansywne i misyjne. A buddyzm i shintoizm, tak jak i kultura Japonii, są od wieków zamknięte, obronne, skierowane do wnętrza. Ich dynamizm i zachłanność nie kierują się na zewnątrz. Mają ponurą siłę implozji: chcą wessać, wciągać, podporządkowywać bez reszty, organizować wokół jednego centrum.

Ziarno chrześcijaństwa. Tutaj. W Japonii. Na ile jest ziarnem polskości?

— Czy wielu Polaków odwiedza was tutaj? — spytałem brata Sergiusza, już na dole, u wejścia do klasztoru.

— Niewielu. Przychodzą bardzo, bardzo rzadko. Ale był Ojciec Święty i pan Wałęsa.

Prowadziłem taką prywatną ankietę. W miarę okazji, każdego prawie z moich tłumaczy, rozmówców, kierowców taksówek, recepcjonistów w hotelu pytałem, co wie o Polsce, czy wie, gdzie leży Polska, jakich zna Polaków.

Nie każdy wiedział. Ale wszyscy widzieli w telewizji papieża i Wałęsę. Taksówkarze skarżyli się, że jak był papież, to zatrzymywano ruch, robiono objazdy, powstawały korki. Co zresztą jest w Tokio zjawiskiem stałym. Ale na papieża były największe.

Recepcjonista w Nagasaki rzucił okiem na wypełnioną przeze mnie kartę pobytu i powiedział z uśmiechem: „W naszym hotelu mieszkał już kiedyś jeden Polak, pan Lech Wałęsa".

To on chciał zbudować w Polsce „drugą Japonię". Było to hasło zarówno demagogiczne, jak organizujące zbiorową wyobraźnię.

Okazało się, że w świadomości przeciętnego Polaka, polskiego robotnika, istnieje „mit Japonii". Był to zarazem mit, wizja i perspektywa, a także tajemnicza obietnica. Gierkowskiej „drugiej Polsce" przeciwstawiła się „druga Japonia".

„Druga Polska" najpierw w przeczuciach, potem w praktyce, okazała się szalbierstwem i manipulacją, zaprzeczeniem tego, co od lat łączyło się ze słowem „Polska". Budowanie „Drugiej Polski" doprowadziło nas do poziomu państw Trzeciego Świata. Ta Polska z hasła o „Drugiej Polsce" nabierała cech nie-Polski. I ta Polska — nie-Polska została odrzu-

cona. Co oczywiście nie znaczyło odrzucenia tych wartości, jakie zawsze były związane z Polską.

Japonia dla przeciętnego Polaka znaczy: wysoka jakość produkcji (aparaty fotograficzne, sprzęt elektroniczny, samochody), wysoka wydajność pracy i precyzyjna organizacja, ogólny dobrobyt, powszechność cywilizacji i demokracji.

Tak, aparaty fotograficzne Nikon są najlepsze na świecie. Amerykanie właśnie od tej firmy biorą cały sprzęt optyczny używany w programach kosmicznych. Tak, elektroniczne zegarki Sanyo i sprzęt elektroakustyczny Sony (a wymawia się to miękko i miło: „Sanio", „Soni") są niedoścignionej precyzji. A takich firm jest wiele. Tak, każdy może kupić i Nikon, i Sanyo, i Sony. Jest w Japonii taki przedziwny obyczaj handlowy, widać dobry, bo inaczej by go nie stosowano: na jednej ulicy jest kilkadziesiąt sklepów z tą samą specjalnością, naturalnie poza niezliczonymi wielotowarowymi domami handlowymi, poza kilometrowymi pasażami handlowymi, gdzie są sklepy wszystkich branż. Są więc dzielnice księgarń i ulice sklepów ze sprzętem sportowym. Ulice ubiorów i dzielnice zabawek. W Osace byłem na ulicy ze sprzętem elektronicznym: radia, magnetofony, telewizory, adaptery, kolumny głośnikowe, radiotelefony, mikrofony, radio-magnetofony, radio-telewizory, radio-magneto-tele itd. Po obu stronach ulicy. Sklepy jeden przy drugim. Zacząłem liczyć. Po dwustu zgubiłem się. Zrezygnowałem. Jest ich podobno około 800.

Tak, każdy też może kupić najlepszy na świecie samochód, tanio, za parę gaż miesięcznych: Datsun, Nissan, Mazda (wymawiana piękniej: „Macuda"), Honda, Toyota, Mitsubishi. To ten sam koncern od statków i mojego niebieskiego pióra-długopisu, i stu innych urządzeń, i banków. W Nagasaki jest wielka

fabryka samochodów Mitsubishi typu Galant. Ich jasnoniebieski, prawie modry lakier, jest kolorem firmowym. Większość taksówek w Nagasaki to niebieskie Mitsubishi-Galant. Także i ta, którą obwożono mnie po mieście i wieziono na lotnisko.

I tam znów ta japońska przemyślność, oszczędność, praktyczność. Lotnisko jest na sztucznej wyspie. Nagasaki położone jest wśród stromych wulkanicznych wzgórz, cała okolica jest taka, południowe, skaliste, poszarpane wybrzeża wyspy Kiushiu wynurzają się gwałtownie z morza, tworząc niezliczone zatoki otoczone dziesiątkami mniejszych wysp i wysepek. Tak wielkie miasto, jakim jest Nagasaki, nie mogło pozostać bez wielkiego lotniska. Ale koszty i trudności wyrąbania go w skale byłyby ogromne. Więc w jednej z płytszych zatok wybudowano wyspę. Pas startowy, podłużny budynek portu, hangary. Połączenie z lądem długim mostem na grobli. Także krajowe lotnisko Haneda w Tokio położone jest częściowo na terenie usypanym w morzu. Tak samo, jak lotnisko w Hong-Kongu, gdzie też brakuje miejsca, gdzie każdy metr kwadratowy kosztuje tysiące dolarów, więc zbudowano lotnisko w zatoce. Niesamowite uczucie: samolot podchodzi do lądowania tuż nad domami mieszkalnymi, nad zatłoczonymi ulicami śródmieścia, i miasto nie kończy się, domy nie rzedną — jak wszędzie wokół lotnisk — nie ma jakichś łąk, pastwisk, ogródków, nic, jest miasto, domy w dole, wysokie wieżowce po prawej, wieżowce po lewej, ściana wielkiej ulicy na wprost, i samolot ląduje jak na wielkim placu w środku miasta napęczniałego tłumem, samochodami, reklamami, sklepami, ruchem, i tylko na końcu pasa startowego jest między domami i między wzgórzami wąski przesmyk, widać tam morze. A dookoła pulsuje miasto i jeszcze, bo ciasno, tłoczno, z obu

stron wyspy-lotniska-lotniskowca przycumowały statki rybackie i handlowe, już nie tylko każda piędź ziemi, ale i woda, wykorzystana. Azja. Większość z nas — ludzi — mieszka w Azji.

Tak, i żywności jest w bród.

Tak, jest dobrobyt, tak, jest powszechny, wysoki poziom życia. Bo w Japonii dominuje ta właśnie bardzo wysoka i wyrównana przeciętność. Tu nie ma slumsów obok luksusowych willi. Tu nie rzuca się w oczy niczyje bogactwo i nie ściska serce obnażona nędza. W bogatych Niemczech Zachodnich krajobraz szczytowego europejskiego dobrobytu co chwila zakłóca przechodzący „gastarbeiter". W Londynie i Paryżu rażące zagęszczenie kolorowych wizualnie świadczy o nierówności. W Nowym Jorku do ociężałej od bogactwa Piątej Alei w centrum Manhattanu dojeżdża się przez dzielnice ruin i zgliszcz, mijając grupki bezrobotnych i narkomanów, Murzynów, białych Portorykańczyków, przez gruzowiska i śmietniska. W Japonii nie ma rażącego bogactwa ani widocznej nędzy. Tłum ubrany jest bardzo czysto i dostatnio. Każdy skrawek terenu jest uprawiony, ogrodzony i wykorzystany. Każdy człowiek umieszczony precyzyjnie w odpowiednim miejscu struktury społecznej. Większość — nie za nisko i nie za wysoko.

A więc dostatek, cywilizacja, demokracja. Tak... Tak — ale...

Co do dostatku — to trzeba sobie jasno uświadomić, że Japonia jest jedynym na świecie wysoko uprzemysłowionym krajem, który do niedawna nie zbroił się. Od 1946 roku, kiedy to nowa konstytucja zakazała Japonii posiadania armii, były tam jedynie małe formacje obronne, a budżet wojskowy nie przekraczał ciągle 1 proc. dochodu narodowego. To jest jedyny taki wyjątek w skali całego globu. I to

jest absolutnie podstawowy i pierwszorzędny czynnik decydujący o dobrobycie współczesnej Japonii i każdego pojedynczego obywatela tego kraju.

Czynnik drugi — to kolosalny dopływ dolarów amerykańskich w ciągu ostatnich 37 lat. Po raz pierwszy po wojnie. Amerykanie odbudowali Japonię i zbudowali ją — tam gdzie była zniszczona — na nowo. Stanęły nowe miasta Hiroszima i Nagasaki, ale i ogromne połacie nowego Tokio i innych miast. Zbudowano nowe fabryki i stocznie. Szkoły i hotele. To był pierwszy ogromny zastrzyk pieniężny. Drugi przyniosła wojna koreańska. Japonia stanowiła bazę wojenną i rekreacyjną, była olbrzymią składnicą broni i gigantycznym szpitalem. Tu przyjeżdżali Amerykanie na krótkie urlopy. Płacili prywatnie w hotelach i barach. Płacił rząd USA za bazy i tranzyty. To były znowu olbrzymie sumy. Widziałem kiedyś w prowincjonalnym kinie w Ameryce stary film: romans amerykańskiego oficera, rannego w Korei, który będąc w szpitalu w Japonii, zakochał się w pięknej pielęgniarce japońskiej. Romans zakończył się bohaterską śmiercią Amerykanina. Ale ile zdążył on przedtem wydać na hotele, taksówki i kolacje ze swą Japonką! Podobną rolę pełniła Japonia w czasie wojny wietnamskiej. I to był trzeci, wielki zastrzyk dolarów amerykańskich.

I dopiero czwartym czynnikiem jest praca. Rzeczywiście doskonale zorganizowana, mrówcza, skrupulatna, punktualna, skuteczna. Japończycy przejęli i wykupili stopniowo wszystkie amerykańskie licencje i technologie. Nauczyli się obsługiwać nowoczesne maszyny. Potem stopniowo je modyfikowali i udoskonalali. Mówi się, że Japończycy są narodem mało twórczym, ale za to niezrównanym w odtwórczości, w pielęgnowaniu, utrwalaniu i rozwijaniu tego co jest. Wydaje się to słuszne. Ale trzeba

w tym sądzie wyakcentować właśnie to przezorne i pazerne gromadzenie, uparte dodawanie po trochu, po piędzi. Nic, co już jest, nie zostanie roztrwonione. Wszystko zaś będzie umocnione i pomnożone.

Co do cywilizacji, to uważniejszy wgląd w kulturę Japonii ujawnia złożoność tego zjawiska. Z jednej strony mamy tam do czynienia z narzędziami i technikami, które w skali światowej będą się zapewne upowszechniały dopiero w XXI, może XXII wieku, i to być może nie wszędzie. Nasycenie komputerami jest najwyższe w świecie. Dostępność wszelkiego typu przekaźników elektronicznych — powszechna. W superekspresie Hikari z Tokio do Kioto (i dalej do Hiroszimy i Fukuoka), który sunął gładko z prędkością ponad 200 kilometrów na godzinę, uświadomiłem sobie, że zapomniałem do kogoś zadzwonić przed wyjazdem z Tokio. Nic prostszego, powiedział tłumacz. Przeszliśmy do małego przedziału z telefonem. Połączenie było automatyczne. Tak jak z budki na rogu ulicy. Ale zarazem ogromna większość Japończyków mieszka nadal w maleńkich domkach, prawie bez umeblowania i ogrzewania, wielu sypia na matach i nie do pomyślenia jest przekroczenie — wysokiego — progu prowadzącego z przedpokoju do wnętrza mieszkania w butach. Pod wierzchnią warstwą nowoczesnej cywilizacji istnieją nadal głębokie pokłady prymitywizmu zachowań, postaw, obyczajów.

Co do demokracji, to również jest to zjawisko złożone. Bo z jednej strony jest ona pełna i powszechna, w sensie teoretycznej, prawnej, konstytucyjnej dostępności wszelkich pozycji społecznych i wszelkich dóbr materialnych dla wszystkich, ale zarazem całe życie społeczne jest przepojone zasadą hierarchii i jego tradycyjne pionowe struktury są

niezwykle silne. O wielu społeczeństwach świata, o wielu narodach nie można mówić inaczej, niż starając się zrozumieć ich przemiany i rozwój, uchwycić zachodzące w nich procesy i stawanie się, obumieranie jednych form bytowania i rodzenie się nowych. Japonii dotyczy to jakby w mniejszym stopniu. O Japonii daje się mówić, jaka ona jest, jaka trwa. Ona nie migocze i nie pulsuje. Jak Afryka. Jak Stany Zjednoczone. Nie przewala się w długich rzutach konwulsji jak Włochy czy Niemcy. Japonia trwa. Odwieczna, doskonała, wybrana, boska. Nie tyle podlega ewolucji czy rewolucjom, co przypadłościom. Jeśli się z tej perspektywy spojrzy na japońską demokrację, okaże się ona czymś zupełnie odmiennym od tego pojęcia demokracji, jakie ukształtował Zachód. Demokracja w Japonii, przejęta tu po 1945 roku z USA podobnie jak technologia przemysłowa, jest raczej po prostu najbardziej efektywną techniką zarządzania współczesnym państwem. Nie stoi w opozycji do hierarchizacji. Nie jest wcale dźwignią rozwoju jednostki. Raczej zaś swoistą formą sztywnej struktury całego społeczeństwa. Demokracja i parlamentaryzm nie kłócą się więc z istnieniem dworu cesarskiego, nie stały się ani ideałem, ani nikt ich nie atakuje. Na dziś są funkcjonalne i optymalne. Dlatego dobre. I tyle.

Jest więc powszechny dobrobyt, nowoczesna cywilizacja i funkcjonalna demokracja. Ale pod nimi kryją się, nurtują społeczeństwo bolesne, dramatyczne pytania o cel życia, o szczęście, o przyszłość.

Bo dobrobyt może skończyć się z dnia na dzień. Bo cywilizacja japońska jest właśnie tylko cywilizacją, a więc czysto materialną dziedziną kultury i zda się nawet działać na szkodę całokształtu kultury, a więc relacji międzyludzkich i życia duchowego jednostki i społeczeństwa. Bo japońska demo-

kracja zda się być zarówno płytka jak i represyjna; a nie będąc zakorzeniona w głębszych warstwach potrzeb i nadziei społecznych wydaje się być — gdyby tylko zaszła taka potrzeba — bardzo łatwa do zaniechania i zastąpienia przez ustrój totalitarny i autokratyczny. Dziś centralizm jest jedną z cech systemu rządów Japonii.

Rodzą się więc pytania.

O dobrobyt — jaki jest jego sens (już nie tylko trwałość), skoro stał się synonimem szczęścia, a przecież tylu jest tutaj ludzi nieszczęśliwych, nie, nie materialnie, ale moralnie, psychicznie, duchowo. Są tego dowody i przykłady: mnożą się samobójstwa uczniów nawet szkół podstawowych, przypadki gwałtów i niesłychanej brutalności w szkołach średnich, ludzie żyją osobno, zamknięci w wąskich kręgach rodzinnych i strukturach swoich zakładów pracy, nie ma przyjaźni, z wolnego czasu zieje pustka, zagłuszana hałasem domów gry w „Pachinco", tej narodowej choroby (jak ją określają socjologowie). Przed automatami, w których z brzękiem miotają się srebrne kulki, wysiadują godzinami ludzie wszystkich pokoleń. Samotna gra z automatem.

Są też pytania o sens tej cywilizacji, która stała się sama fetyszem i bożkiem. O wartości jednostki sądzi się na podstawie jej użyteczności i efektywności w ramach systemu, a wykształcenie, które się szanuje i liczy, to po prostu wiedza techniczna.

Są też pytania o demokrację — bo słowo „równość" praktycznie nie ma znaczenia. Okazuje się teorią i fikcją, bezsilną wobec tradycyjnych struktur.

Są pytania o to, jak odnaleźć miłość i jak kochać. Jak zachować pokój. I jak zachować nadzieję.

Są to więc pytania o wartości duchowe i moralne. O osobę ludzką, jej los i miejsce w społeczeństwie.

A więc o człowieka, o kulturę, o religię. I współczesna kultura Japonii nie daje odpowiedzi na te pytania. Ale takie pytania istnieją. Trudno je sformułować i wydobyć. Tkwią głęboko. Pulsują niejasno.

Stojąc w małym drewnianym pokoiku Ojca Kolbe, myśląc o nim i o tych Polakach, którzy tu byli przede mną, zaczynam się zastanawiać, czy wielkie zainteresowanie nimi, ich wielka popularność w Japonii, nie zrodziła się z faktu, że te właśnie pytania były i dla nich ważne i na te właśnie pytania starali się odpowiadać swoją nauką i swoim działaniem. Reprezentowali wartości, które tu właśnie, w Japonii, zdają się być najbardziej zapomniane i zarazem najżywiej pożądane. Poszukiwane nawet nieświadomie. Tajemnicze i niepokojące. Ale coraz wyraźniej nazywane i artykułowane.

Ten wspaniały, bogaty, piękny i czysty, doskonale zorganizowany i efektywnie zarządzany kraj, w którym wszystko jest i wszystkiego jest pod dostatkiem — wszystkiego co da się zrobić i wykonać, sformułować i określić, dotknąć i ująć — okazuje się zarazem krajem wielkiego braku i głodu tego, co niedookreślone, co międzyludzkie, tego co w sferze uczuć i w dziedzinie ducha. A także tego co religijne.

Właśnie w tych dziedzinach odsłania się istotne znaczenie tego, co wnosiło tu chrześcijaństwo, co głosił Jan Paweł II.

W celi Ojca Maksymiliana

Jesteśmy teraz w starym pokoiku redaktora „Rycerza Niepokalanej". Teraz to pismo ma piękną kolorową okładkę o wysmakowanych barwach. Brat

Sergiusz pokazuje mi również specjalny numer wydany z okazji wizyty papieża w Japonii. Wspaniały serwis kolorowych zdjęć. Papież na schodkach samolotu, po przylocie. Papież w Muzeum Bomby w Nagasaki, w Muzeum Bomby w Hiroszimie. Papież przed kościołem w Oura, pod tą figurą Matki Boskiej, która powitała kiedyś Ojca Kolbe. Papież w zadymce śnieżnej, w szacie wydętej przez wicher jak żagiel. Papież w szpitalu dla chorych na chorobę popromienną. Papież w kościołach, na stadionie, z cesarzem, z zakonnikami, z dziećmi. A teraz już papież w japońskim Niepokalanowie, w Hongochi-machi. Przed pomnikiem Ojca Kolbe. Przed ołtarzem w kaplicy Ojca Kolbe z jego wielkim obrazem. I znów pod pomnikiem — figurą — składa biało-czerwony wieniec, kroczy po śniegu, z którym zlewa się jego biały długi płaszcz, odcina się tylko czerwony kapelusz. A Ojciec Kolbe stoi poważny, z wielką białą czapą ze śniegu na kamiennej głowie. A tu papież przy biurku Ojca Kolbe wpisuje się do księgi pamiątkowej.

— To biurko też ja robiłem — objaśnia brat Sergiusz — I te półki i te stołki.

Wszystko drewniane, proste, solidne. I niespodziewane w kontraście z metalowymi i plastikowymi meblami wszystkich biur, urzędów i redakcji współczesnej Japonii.

Gdy wznoszono nowy gmach redakcji i drukarni „Rycerza", bracia postanowili zachować, przenieść doń stary gabinet Ojca Kolbe. Zaraz na prawo od wejścia, na parterze, wchodzi się do drewnianej, niewielkiej celi. Drewniana podłoga z szerokich desek, drewniane ściany i sufit, drewniane sprzęty, to biurko w głębi. Na nim wielka fotografia Ojca Kolbe, w czarnym habicie, przy tym samym biurku.

Patrzę na to biurko, stojąc od niego o krok, dotykam jego desek wygładzonych dłonią i łokciami dziennikarza w habicie, który zapisał tu tysiące stron w różnych językach. Brat Sergiusz dotyka także tego blatu, kładzie nań szeroką, ciężką dłoń stolarza, jakby sprawdzał pasowanie. Biurko jest solidne, dobrze spasowane i stabilne. W drugim ręku mam kolorową fotografię tego samego biurka, z lężącym na nim czerwonym kapeluszem papieża i siedzącym przy nim w białej sutannie Janem Pawłem II. A przed nim taż sama fotografia Ojca Kolbe, którą widzę i ja teraz.

To biurko, w tym pokoju i to biurko na fotografii. Człowiek przy nim w czarnym habicie. Pięćdziesiąt lat mija. Człowiek przy nim w białej sutannie. Dwa czasy. Stają się jednym.

W latach trzydziestych rozpoczął pracę misyjną w Japonii Polak, Franciszkanin, Ojciec Maksymilian Kolbe. Zbudował największy katolicki — i polski — ośrodek wiary i kultury na tej ziemi. Pięćdziesiąt lat później przybył tu inny Polak, też na misję. Tamten rozpoczął z pustymi rękami, z niczego, cały czas pozostał ubogim mnichem, ale kupował coraz lepsze, bardziej nowoczesne maszyny drukarskie. Ten, po latach, korzystał obficie z całej nowoczesnej sieci i techniki audiowizualnej, posługiwał się swobodnie mikrofonami, kamerami, samolotami, ale w sercu zapewne nie różnił się w niczym od swego poprzednika. Obaj przybyli z kraju dalekiego.

W domu Ojca Kolbe papież powiedział: „Zależało mi szczególnie na tej krótkiej wizycie w domu założonym przez mojego rodaka, Ojca Maksymiliana Kolbe. Program dzisiejszego popołudnia rozpocząłem od odwiedzin Wzgórza Męczenników, gdzie przed wiekami, wielu chrześcijan dało świadectwo Chrystusowi. Tutaj wszystko nam przypomina mę-

czennika naszych czasów, Błogosławionego Maksymiliana, który nie zawahał się dać świadectwo miłości bliźniego, co Chrystus uczynił cechą wyróżniającą chrześcijanina. Oddał on swoje życie w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu (Auschwitz), aby ratować żonatego mężczyznę, ojca dzieci. Pomiędzy męczennikami z Nagasaki a Ojcem Kolbe istnieje wyraźny związek (...) Czyż to nie ta sama silna wiara, nie to samo oddanie się Chrystusowi i Ewangelii skierowały go do Japonii, a później do głodowego bunkra? W jego życiu nie było przedziałów, niespójności, zmieniania kierunków; były tylko różne formy wyrażania tej samej miłości w odmiennych warunkach."

„Wy, którzy kontynuujecie rozpoczętą przez niego pracę, zdajecie sobie sprawę z żarliwości, jaka napełniała to odważne serce. Po przybyciu do Japonii w 1930 r. pragnął on natychmiast kontynuować w nowym otoczeniu to, co uznał za swoją specjalną misję: upowszechnianie kultu Najświętszej Maryi Panny i ewangelizację za pomocą drukowanego słowa. Założenie „Miasta Niepokalanej" i wydawanie „Seibo No Kishi", były dlań częścią tego samego nadrzędnego planu przybliżenia Chrystusa, Syna Bożego narodzonego z Dziewicy Maryi — wszystkim ludziom. Wiecie, że jego starania nie były naznaczone lub ograniczone ludzkim wyrachowaniem, lecz że prowadził je z niesłabnącą ufnością w Opatrzność Bożą. Bóg nie zawiódł tego zaufania. Przedsięwzięcie rozpoczęte tutaj, w tej starej drukarence, przybrało nowy, niespodziewany wymiar: była nim inspirująca siła wypływająca z poświęcenia Ojca Maksymiliana.

Jego Misja musi być prowadzona dalej: musi być kontynuowana ewangelizacja. W narodzie, w którym katolicy są tak nieznaczną mniejszością, istnie-

je niekwestionowana potrzeba wykorzystania w służbie Ewangelii słowa pisanego i innych środków przekazu. Kościół otrzymał od Chrystusa polecenie głoszenia Ewangelii i niesienia zbawienia wszystkim ludziom. Głoszenie Dobrej Nowiny za pomocą potężnych środków społecznego przekazu mieści się więc w ramach odpowiedzi Kościoła na to polecenie."

Podpisy i teksty obok fotografii są w języku japońskim. Ale brat Sergiusz nie potrzebuje ich tłumaczyć, sam opowiada mi tę historię czterech dni pobytu papieża w Japonii, prawie tak silnie odciśniętą, jak tamte cztery lata pracy z Ojcem Kolbe: Tokio, Hiroszima, Nagasaki. Ten ołtarz w śnieżycy to właśnie tutaj, w Nagasaki.

Jest jeszcze jedna wzruszająca fotografia, czarnobiała. Papież pochyla się nad zakonnikiem siedzącym na wózku inwalidzkim. To brat Zeno Żebrowski, dziś już dziewięćdziesięcioletni, który przybył do Nagasaki w pierwszej ekipie. Ojciec chorych, dobroczyńca sierot i starców. Postać znana wszystkim Japończykom. Był tak zajęty przez całe życie pomaganiem innym, że — jak mówią — nie miał czasu umrzeć. Teraz, chory już nieuleczalnie, oczekuje na śmierć w szpitalu w Tokio. Przywieziono go do papieża. A gdy Ojciec Święty ucałował jego głowę i przygarnął go do serca, brat Zeno rozpłakał się jak dziecko. To jeszcze jedno spotkanie wielkich Polaków na oczach kamer telewizji i fotoreporterów z całego świata.

Kartkuję jeszcze raz machinalnie ten numer specjalny „Rycerza Niepokalanej", brat Sergiusz stoi z boku, i orientuję się, wyczuwam, że jakby na coś czeka, ale nic nie mówi. Nagle mój wzrok pada na przeoczoną widocznie uprzednio stronicę. Wielkie zbliżenie na całą stronę: z lewej Jan Paweł II,

z prawej, tak, naturalnie, poznaję, brat Sergiusz. Biała sutanna Ojca Świętego. Czarny habit brata Sergiusza. Uśmiech Ojca Świętego, znany, zmęczony i uważny. Uśmiech brata Sergiusza ciepły, jakby zdziwiony.

— Jak pan chce, to może pan wziąć ten numer, — mówi — Bierze jedną kartkę między dwa palce i ostro pociera. Bada jakość.

— Nie mieliśmy wtedy takiego papieru. Ani koloru. Żeby to Ojciec Kolbe mógł zobaczyć...

Zamyśla się na chwilę.

— I te maszyny — dodaje.

Przyp. redakcji: *Już po oddaniu tego reportażu do druku, otrzymaliśmy informację, że brat Zeno zmarł w japońskim Niepokalanowie i został tam pochowany.*

Leszek Konarski

TYDZIEŃ NA PRZYSTANKU

Poniedziałek 14 XII

Tak jak codziennie murarz z Hutniczego Przedsiębiorstwa Remontowego nr 3 w Nowej Hucie, Józef Woźniak pomógł nałożyć córce tornister i o wpół do szóstej rano wyszli ze swego domu na skraju Śmiłowic, już blisko Hebdowa. Na skrzyżowaniu asfaltowej szosy łączącej Kraków z Sandomierzem oraz drogi wysypanej tłuczniem prowadzącej z jednej strony do remizy strażackiej i przeprawy przez Wisłę, a z drugiej do bramy Kółka Rolniczego, zebrała się już spora grupka ludzi. To w tym miejscu, koło ruin spalonego śmigłowieckiego pałacu i wybudowanego naprzeciwko baru „Uciecha", zatrzymuje się o 5.15 autobus HPR-u. Ojciec jedzie do pracy, córka już sama idzie kilka kilometrów do szkoły podstawowej w Sierosławicach.

W tym to miejscu zwanym w Smiłowicach „Centrum", choć oprócz baru niczego tu nie ma, stali już dwaj Korcze. Ojciec Stanisław zwany „Cumbą" jest w HPR-rze kowalem a syn Władysław tokarzem w warsztacie samochodowym. Na przystanek przyszli po chwili kierowca Sylwester Klimek, ślusarz Józef Przytuła, mechanik Jan Pawlicki i murarz Jan Gamoń.

Stanisław Kulikowski, najmłodszy z HPR-owców dojeżdżających ze Śmiłowic, pracujący jako konserwator urządzeń, pogłaskał po głowie 10-miesięcznego Łukaszka, syna starszego brata i po pożegnaniu się z ojcem wybiegł zdenerwowany ze swego domu koło remizy strażackiej.

Woźniak, któremu córka nie pozwalała iść szybko, dotarł do przystanku jako ostatni.

— Takiś Józek partyjny, a nie wiesz co się dzieje w Polsce i dziecko do szkoły prowadzisz! — zawołał Kulikowski.

— Widocznie radia nie słucha. Nie wiesz że wojna — dorzucił Klimek.

— Jaka tam wojna? Co wy pieprzycie!

— Czerwoni to powinni wiedzieć o wszystkim kilka dni naprzód! — powiedział Kulikowski. — Zawróć córkę do domu, bo nie ma nauki!

Tu więc na przystanku Woźniak dowiedział się od kolegów o tym, że od wczoraj jest w Polsce stan wojenny, usłyszał o strajkach i internowanych. Najmniej przejął się tym, że Kulikowski nazywa go czerwonym, gdyż przecież zawsze we wszystkich dyskusjach stawał na pozycjach lewicy. To jego dążenie do idealnego socjalizmu powodowało, że mimo wieloletniego stażu partyjnego, nigdy nie odważył się być działaczem. Ciągle w partii coś go drażniło. Nigdy też nie myślał, aby z przynależności politycznej wyciągnąć jakieś korzyści. Tak jak dawniej i dzisiaj jest murarzem, a swój dom przy szosie przez kilka lat budował własnymi rękami.

Dwudziestokilkuletni Kulikowski od lata 1980 roku żył pod wielkim wrażeniem tego co się stało na Wybrzeżu. Potem wstąpił do „Solidarności", ale działaczem nie został. Przekonany o słuszności sprawy w każdej dyskusji bronił programu swojego

związku. Jego utarczki słowne z Woźniakiem trwały już wiele miesięcy.

Po wysłuchaniu o tym co stało się w nocy z soboty na niedzielę Woźniak zamyślił się przez chwilę. Wreszcie powiedział:

— Może to i dobrze, że weszło wojsko, bo gdyby taki bałagan trwał dalej to chyba Polska by się rozpadła.

— Tylko, że ten bałagan nie zaczął się przed rokiem gdy powstała „Solidarność", ale trwał dużo dużo dłużej — odpowiedział mu Kulikowski. — Teraz partia chce całą winę zrzucić na „Solidarność".

Z grupki oczekujących posypały się docinki.

— Ten stan wojenny, to już koniec dla czerwonych.

— Do Korczów też się dobierzemy.

— Proszę, bardzo proszę! Dobieracie się tak od roku i co? Znaleźliście coś? — zdenerwował się „Cumba". — Owszem, byłem gromadzkim sekretarzem partii. Zgadza się. Chodźcie teraz do mojego domu i zobaczcie czego się dorobiłem. Miałem jedną krowę, którą musiałem sprzedać, bo sześć lat jałowiła. Zostało mi tylko sześć świń. I wy szczochy będziecie mi mówili, że się na partii dorobiłem. Ja tam nie szabruję tej huty w biały dzień jak to wy potraficie robić!

— Ciekawe tylko kto więcej wynosi!

— Wystarczy zajrzeć pod fotel „Cumby" jak wraca z pracy!

Jeden drugiemu zaczął teraz wytykać co ten wyniósł z pracy. Partyjni — Woźniak i dwaj Korcze zarzucili pozostałym, że mówili o wielkich hasłach „Solidarności", a wynosili z huty co się dało. Z kolei „solidarnościowcy" to samo zaczęli mówić o partyjnych. Kulikowski chwycił Woźniaka za kołnierz

płaszcza i gdyby nie interwencja Przytuły i Pawlickiego to doszłoby do rękoczynów.

Gdy tylko na przystanku trochę ucichło Klimek spojrzał na zegarek. Była 5.45, a więc godzina odjazdu autobusu.

— Powinien już lecieć.

— A do Jaksic już leciał?

— Stoję od wpół do szóstej i nie widziałem aby jechał — powiedział Gamoń.

— Kto wie co się tam w tej hucie teraz dzieje?

— No co? W środku siedzi „Solidarność", a dookoła huty wojsko i milicja.

— Chyba strajkować nie pojedziemy? — powiedział stanowczo „Cumba".

— A czemuż by nie? — oznajmił Kulikowski. — Jak jechać to tylko na strajk. Cała Polska przecież stoi.

— Gdzie tam cała Polska? Może kilkadziesiąt zakładów — skontrował go „Cumba". — Już dawno powinni ten stan wojenny wprowadzić, bo te strajki zupełnie zrujnowały naszą gospodarkę.

— Powtarzam ci „Cumba" jeszcze raz, że kryzys gospodarczy zaczął się na długo przed powstaniem „Solidarności" — odparł mu Kulikowski.

I znowu jedni zaczęli drugich obarczać winą za to co się w kraju stało. Obrażano się nawzajem, nie przebierano w słowach. Z przystanku odległego o kilkaset metrów w stronę Sierosławic, na którym również zatrzymuje się autobus Hutniczego Przedsiębiorstwa Remontowego, nie mogąc się tam doczekać przyszli na krzyżówkę pod bar murarz Styczeń, brygadzista Bronisław Sibiga wraz z synem Ryszardem oraz fliziarz Jerzy Jabłoński. Sibigowie poparli Woźniaka i „Cumbę", Jabłoński opowiedział się za Kulikowskim. Styczeń tak jakby akceptował argumenty „solidarnościowców", ale ponieważ jego

żona jest siostrą „Cumby” wobec tego nie chciał się sprzeciwiać rodzinie i wolał pozostać niezdecydowany.

Każdego ranka kwadrans po czwartej autobus jelcz z numerem rejestracyjnym KRA 216b wyjeżdża z zajezdni Hutniczego Przedsiębiorstwa Remontowego nr 3 w Nowej Hucie, mija olbrzymie hale Walcowni Blach Karoseryjnych, Centrum Administracyjne HiL, Koksownię, Aglomerownię, Cementownię, aby następnie przez miejscowości Cło, Igołomię, Wawrzeńczyce, Nowe Brzesko, Hebdów i Śmiłowice dojechać do Jaksic. W Jaksicach koło Kółka Rolniczego jelcz zawraca i zabierając po drodze jednego pracownika z Jaksic i dwóch z Sierosławic zatrzymuje się pierwszy raz w Śmiłowicach przed domem Leszka Stycznia, a po raz drugi pod barem „Uciecha”.

Tak jest codziennie od 16 lat. Jeden autobus zostaje zastąpiony drugim, stary nowym, zawsze jednak ta sama jest godzina odjazdu i wyznaczone miejsca zbiórek. Ten jelcz jeździ już na tej trasie od 8 lat. Po odbiór tego wozu pojechał do Chobzia na Śląsk kierowca Zenon Przykowski. Choć dzisiaj jest to już staruszek do tego niebieskiego „jelcza” HPR-owcy przyzwyczaili się jak do własnego domu. W „swoim” autobusie śmiłowiczanie spędzają codziennie czterdzieści minut w drodze do pracy i tyleż samo z powrotem.

Z frekwencją na przystankach bywa różnie. Każdy jednak kto z różnych powodów źle się czuje, czy był u lekarza czy też nie, ma obowiązek powiadomić kolegów, aby nie czekali na niego na przystanku. Najgorzej bywa w poniedziałki, gdyż w niedzielę okazji do wypicia sporo, czasem jakieś wesele lub imieniny i potem trudno dojść do autobusu. Dlatego też od lat weszło w tradycję, że w każdy

poniedziałek HPR-owski autobus w drodze do huty na krótko przystaje przed barem „Janosik" w Cle, który otwierany jest bardzo wcześnie, jakby z myślą o dojeżdżających do pracy. Jedno szybkie piwko i możemy jechać.

Poza trzema osobami z Jaksic i Sierosławic śmiłowiczanie stanowią grupę, która wsiada do autobusu najwcześniej. W Hebdowie dosiada się kilka osób i następna grupa wchodzi w Nowym Brzesku. Grupa śmiłowiecka zajmuje cały przód wozu, tamci z Nowego Brzeska tył. Choć wszyscy pracują w jednym przedsiębiorstwie w autobusie są dwa państwa. Granica pomiędzy ludźmi z Nowego Brzeska, których w Śmiłowicach nazywają „krawaciarzami", a ludźmi ze Śmiłowic, których z kolei w Nowym Brzesku nazywają „gaciarzami" przebiega dokładnie w połowie autobusu. „Gaciarze" to stąd, że najstarsza część Śmiłowic, gdzie dawniej stały dworskie czworaki nazywana jest „gettem". Dom tam stoi koło domu, co chałupa to rodzina. Jak się tam zapuka do drzwi to trafi się albo do Zakrzewskich albo do Gamoniów. „Krawaciarze" natomiast dlatego, że podobno w Nowym Brzesku chłop nawet gnój idzie ładować pod krawatem.

Dzisiejszy poniedziałek jest jednak wyjątkowy. Przyszli wszyscy w komplecie łącznie z „Cumbą", który mógłby siedzieć w domu, gdyż ma 9 dni zwolnienia lekarskiego. W czasie pracy stłukł sobie poważnie palec i ma założony opatrunek. Postanowił jednak jechać do pracy i zobaczyć na własne oczy co to się w hucie dzieje.

HPR-owski „jelcz" dalej nie nadjeżdżał. Choć było jeszcze ciemno na przystanek pod barem przyszło trochę młodzieży i kobiet. Każdy chciał się dowiedzieć co to się w kraju dzieje.

— Może jednak jechać okazją? — zaproponował Władek Korcz. — Coś mi się wydaje, że dzisiaj nie przyślą po nas autobusu.

— Będą się bali, że dołączymy do strajku — powiedział Kulikowski.

— Ja tam na pewno nie będę strajkował. Już wystarczająco wycierpiałem przez „Solidarność" — oznajmił „Cumba" — ciągle człowiek żył pod strachem. Jak pojechałem do Krakowa to nigdy nie miałem pewności czy tramwaje będą jeździły.

— Jak przyślą wóz to pojedziemy, jak nie to idziemy do domu — zabrał głos Przytuła. — Chcieliśmy przecież jechać do pracy i bumelki z tego powodu nie mogą policzyć.

— Ja tam jednak muszę zobaczyć, co robi moja brygada i mimo wszystko pojadę — zadecydował Bronisław Sibiga.

— Twoja brygada już dawno nałożyła biało-czerwone opaski i stoi na bramie lub dyskutuje w warsztacie — odpowiedział mu Klimek. — Czy ty myślisz, że ktoś poza utrzymaniem ruchu pracuje?

Nie zważając na docinki kolegów Sibiga zatrzymał przejeżdżającego szosą żuka. Zamykając za sobą drzwi samochodu usłyszał za sobą:

— Ciekawe do czego się temu s...... śpieszy!

W chwilę po odjeździe Sibigi od strony Hebdowa coraz wyraźniej słychać było warkot zbliżającego się dużego samochodu.

— No nareszcie jedzie! Poznaję po silniku! — ucieszył się Woźniak.

Umilkły rozmowy i każdy wpatrywał się w łuk najbliższego zakrętu. Rozbłysły światła reflektorów i każdy już wiedział, że nie jest to ich jelcz, lecz autosan wiozący pracowników huty po nocnej zmianie. Kierowca włączył kierunkowskaz i zatrzymał się po drugiej stronie szosy. Może z trzydzieści osób,

bo tyle zebrało się już na przystanku, otoczyło kręgiem wysiadających. Byli to ludzie z Wielkich Pieców.

— Wszystkie bramy są zablokowane, na głównej stoi w poprzek autobus — zaczął swą opowieść jeden z przybyłych — brama koło walcowni zastawiona jest wagonami kolejowymi. Od strony kombinatu stoi przy bramach „Solidarność", a na zewnątrz milicja. Aby wejść lub wyjść z huty trzeba przejść przez dwie kontrole.

— A piece wygasiliście?

— Tylko pierwszy, drugi i trzeci. Czwarty pracuje na zwolnionych obrotach, a piąty daje normalną produkcję. Czynne są stalownie martenowska i konwertorowa.

Powracający z kombinatu opowiedzieli o tysiącu studentów, którzy w niedzielę przyjechali do huty i zostali rozmieszczeni na poszczególnych wydziałach, o komitecie strajkowym na czele którego stanął dziennikarz z „Głosu Nowej Huty", Mieczysław Gil. Mówili o toczących się w siedzibie dyrekcji pertraktacjach pomiędzy przedstawicielami komitetu strajkowego a komisarzem wojskowym huty.

— Strajk w hucie rozpoczął się o godz. 1 w nocy z soboty na niedzielę czyli jeszcze przed ogłoszeniem przez radio komunikatów o stanie wojennym. O tej godzinie milicja weszła do lokalu Komisji Robotniczej Hutników i w kilkanaście minut później na zgniataczu powołany został komitet strajkowy. Dopiero o 5-tej rano wszyscy dowiedzieli się, że został ogłoszony stan wojenny. Komitet strajkowy ustalił, że każdy pracownik popierający strajk będzie przebywał na terenie huty przez 16 godzin, a następnie 8 godzin spędzi w domu.

Opowieść pracowników Wielkich Pieców przerwał Przytuła, który nagle krzyknął:

— Teraz to już leci!

W ciszy HPR-owcy przez chwilę wsłuchiwali się w rosnący łoskot silnika, by po dostrzeżeniu dużego ciężarowego jelcza z przyczepą głośno zakląć.

Tymczasem coraz szybciej robił się dzień odsłaniając okryte śniegiem ruiny okazałego jeszcze do niedawna śmiłowieckiego pałacu.

W tym dworze należącym do rodziny Zdanowskich służyli rodzice prawie wszystkich oczekujących dzisiaj na autobus. Ojciec Pawlickiego był rządcą, ojciec Korcza prowadził kuźnię, inni byli fornalami, oborowymi, dozorcami. Zdanowscy gospodarowali na 375 morgach, a że dbali o pola więc osiągali znaczne dochody. Starannie utrzymany był pałac, dworscy ogrodnicy dbali o żywopłoty i gazony. Mając już sporo lat, ostatnia dziedziczka Śmiłowic, Aniela Zdanowska prowadzenie majątku powierzyła swemu siostrzeńcowi, Gabrielowi Osuchowskiemu, który sprowadził najnowocześniejsze wtedy maszyny rolnicze. Do 2 lutego 1945 roku majątek śmiłowicki był wzorem dla okolicznych dziedziców.

W tym to drugim dniu lutego miejscowy sołtys zaniósł do dworu akt wywłaszczenia. Osuchowskiemu zakręciły się łzy w oczach, bo przypuszczał, że władza ludowa pozwoli mu zatrzymać choć 50 morgów, popłakała się też pani Zdanowska. Z niewielką ilością rzeczy opuścili pałac pozostawiając meble, obrazy, dwa fortepiany. Lokalna władza wręczyła klucze od pałacu Mieczysławowi Nowakowi, jednemu ze służących we dworze. Miał on strzec pałacu aż do chwili, kiedy tu zostanie otwarta szkoła rolnicza.

Na ziemi dworskiej, podzielonej w wyniku reformy, wśród mieszkańców czworaków zaczęły wyrastać nowe kolonie domów. Domy wybudowane ko-

ło szosy w kierunku Sierosławic to dzisiaj „Dworusy", w górę powyżej dworu „Wygwizdów" a w stronę Hebdowa — „Przybęda". Skrzyżowanie pod barem łączy więc „Getto" z „Wygwizdowem" i „Dworusy" z „Przybędą".

O 9-tej przyjechała PKS-em z Nowego Brzeska pani Zosia, bufetowa z „Uciechy". Można więc było wejść i zagrzać się herbatą. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nie było w barze ani wódki, ani „jabola" ani nawet piwa, którego rozlewnia znajduje się sto metrów dalej.

Jak tylko weszli do baru, pozostawiając na zewnątrz zawsze jednego warującego na autobus, znowu dyskusja uległa zaognieniu. „Solidarnościowcy" twierdzili, że stoi prawie cały przemysł, partyjni mówili że tylko kilka zakładów. Pierwsi mówili, że podobno wojsko na Wybrzeżu połączyło się ze strajkującymi, drudzy kategorycznie zaprzeczali. Nikt już nie wiedział co jest prawdą a co kłamstwem. Jeden powtarzał za „Wolną Europą", drugi za „Głosem Ameryki", trzeci za dziennikarzem telewizyjnym. W Śmiłowicach jedynym faktem prawdziwym i sprawdzalnym był brak alkoholu w bufecie.

Najdłużej spierano się o to czy milicja i wojsko zdołają zdobyć kombinat. Jedni wyrażali przypuszczenie, że atak nastąpi z powietrza. Drudzy twierdzili, że jest to absolutnie niemożliwe, gdyż spadochroniarze nie mogą skakać na obiekt przemysłowy. Ostatecznie zgodzono się, że najprawdopodobniej huta zostanie wzięta głodem.

O 11-tej Leszek Styczeń zszedł z posterunku na szosie i przyszedł do baru.

— Powinni przecież dać nam jakoś znać, że autobus nie pojedzie!

— Jak cię mają zawiadomić — powiedział Klimek — telefony powyłączano, telegramów nie można nadawać, gazety nie dochodzą.

— Jesteście pewni, że jutro po nas przyjadą? — zapytał Władek Korcz.

— Przecież do jasnej cholery nie mogli o nas zapomnieć! — odpowiedział mu ojciec.

Wtorek 15 XII

Podobnie jak wczoraj i dzisiaj rano wszyscy byli na przystanku przed czasem. Nikt nie zachorował, nikt nie zrobił sobie bumelki, „Cumba" też przyszedł chociaż miał zwolnienie.

— Podobno wczoraj w hucie była strzelanina — zaczął Gamoń.

— Co ty opowiadasz takie rzeczy — skontrował go Woźniak. — Milicja pierwsza nie użyje broni.

— A co, myślisz, że „Solidarność" chce się bić?

Z sąsiedniego przystanku nadeszła cała czwórka. Sibiga oznajmił, że był wczoraj w hucie i powiedzieli mu, że autobus powinien dzisiaj jechać. Nawet dyrektor nie był w stanie zapewnić, że tak będzie faktycznie, bo nie wiadomo jak się potoczą wydarzenia w kombinacie i kiedy zostanie zakończony strajk. W każdym razie kazali czekać przynajmniej do 9-tej.

— A ty Sibiga strajkowałeś wczoraj czy pracowałeś? — zapytał go Kulikowski.

— Narobiłem się do wieczora. Pękła rura od ciepłej wody i musiałem ją wymienić.

— Jakby rura nie pękła to też byś pojechał przypochlebić się kierownictwu! — dociął mu Kulikowski.

— A co, gdybym nie naprawił to nie mielibyście ciepłej wody w szatniach. Miałem patrzeć jak woda zalewa warsztat? Może ty tak potrafiłbyś się zachować, bo dla ciebie strajk jest ważniejszy.

Autobusu nie było, dalej widać więc zaczęto zastanawiać się co robić dalej. Woźniak był zdania, że trzeba jednak jechać okazją i zgłosić się do pracy. Kulikowski też był zdania, że trzeba jechać ale w celu poparcia strajkujących. Przytuła natomiast opowiedział się za pozostaniem w Śmiłowicach i czekaniem aż przyślą po nich samochód z przedsiębiorstwa. Żadna z propozycji nie zyskała aprobaty wszystkich więc nic nie zadecydowano. Sytuacji tej nie wytrzymał dłużej Pawlicki i wskoczył do przejeżdżającego akurat samochodu.

— Dzisiaj temu s...... się spieszy! — usłyszał za sobą.

Najgłośniejszym na przystanku był dzisiaj „Cumba", który krzyczał na Kulikowskiego, że jest wrogiem klasowym i że za biedę w kraju winę ponosi „Solidarność", bo ciągle przeszkadza rządowi. Gdyby też „Solidarność" nie wtrącała się do spraw mieszkaniowych to jego syn Mieczysław miałby już mieszkanie M-5 a nie M-2. Na to Kulikowski nazwał „Cumbę" twardogłowym i wymienił ile ta „Solidarność" załatwiła. Ojca poparł syn Władek oraz szwagier Sibiga. Inny członek rodziny Korczów Leszek Styczeń przysłuchiwał się spokojnie tej kłótni zgadzając się bardziej z argumentami Kulikowskiego, lecz ze względów rodzinnych wolał nie wypowiadać się.

W Śmiłowicach aż 10 rodzin to Zakrzewscy, a tylko 8 to Korcze. Zakrzewscy nie tylko są liczniejsi, ale mają więcej bitnej młodzieży i trzech starych kawalerów chętnych zawsze do zaczepki. Stąd też w barze „Uciecha" żaden Korcz nie pod-

skoczy. Co innego natomiast w autobusie HPR-u. Tu od 8 lat niepodzielnie panuje „Cumba", kowal z warsztatu samochodowego tego przedsiębiorstwa. Starego Korcza tak nazywają, gdyż podobno kiedyś dzieci w Śmiłowicach widząc kowala mówiły mu wierszyk:

Cumba-cumba pożycz dychę
pięć na bułę, pięć na kichę.

Tak też zostało i nikt o Stanisławie Korczu nie powie inaczej jak tylko „Cumba".

Ojciec „Cumby", Roman Korcz był znanym i cenionym w całej okolicy kowalem. Krótko po wojnie kuźnię prowadził brat „Cumby" i wreszcie on sam. O wszystkich Korczach już od przedwojny mówiono w Śmiłowicach — „czerwoni kowale". Dworski kowal należał do KPP, synowie do PPR i PZPR. „Cumba" był nawet przez jakiś czas sekretarzem gromadzkim partii. Jako kowal nie odziedziczył jednak po ojcu tej wytrwałości i dokładności, którą się tamten odznaczał. Wystawił nawet nową kuźnię z pustaków, lecz też coś zrobił nieporządnie i runął dach omal nie przygniatając kowala. „Cumba" więc rozebrał kuźnię i zgłosił się do pracy w Hutniczym Przedsiębiorstwie Remontowym nr 3. Tu na wykonywanych przez niego resorach, bo to jest jego specjalność, jeżdżą między innymi autobusy dowożące ludzi do pracy. Dlatego też tak często klnie na kierowców, że biorą tyle łebków i potem on ma robotę z resorami.

„Cumba", choć mu do emerytury już niedaleko, ma krzepę w rękach i on ma najwięcej na sumieniu rękoczynów w HPR-owskim autobusie. „Ja się nie lękam nikogo — powtarza — strzelę w mordę jednego, drugiego i koniec". Gdy jakiś łebek zajmie miejsce prawowitemu właścicielowi tego fotela to wtedy również najlepiej udać się ze skargą do ko-

wala. „Cumba" zaraz tam idzie i krzyczy: „Zrób mu plac szczochu, bo on chce siedzieć!". Gdy tamten uda, że nie słyszy „Cumba" chwyci go za kołnierz i zaraz miejsce jest wolne.

„Cumba" w autobusie jest taki ważny, bo wie, że w razie tarapatów ma za sobą rodzinę. Nigdy nie odważyłby się tak szumieć w barze „Uciecha" lub na zabawie w remizie. Autobus jednak należy do niego. Z Zakrzewskich jeździ tylko czasem jako kierowca Gienek, bardzo jasny blondyn, którego dlatego nazywają „Murzynem". Teraz Stanisław Korcz jeździ tylko z jednym synem Władkiem, ale jeszcze kilka miesięcy temu tuż za nim siedział jeszcze drugi syn Mieczysław, który otrzymał mieszkanie w Nowej Hucie.

Pierwszym Korczem, który zaczął pracować w Hutniczym Przedsiębiorstwie Remontowym był zmarły w 1974 roku Bolesław Sibiga. To on ściągnął do huty swego brata Bronisława oraz Leszka Stycznia. Bronisław zachęcił do pracy w HPR-rze swego szwagra „Cumbę". Ten znów najpierw załatwił robotę swemu synowi Władysławowi, a po dwóch latach również Mieczysławowi. Ponadto z Korczami spokrewniony jest również wsiadający do autobusu w Nowym Brzesku Jerzy Poszwa. Bardzo trudno wyznać się w tych koligacjach, gdyż antagonizmy pomiędzy Korczami, Zakrzewskimi czy też Gamoniami powodują, że poszczególne rodziny wchodzą ze sobą w bardzo bliskie związki. W każdym razie gdy dawniej dochodziło do rękoczynów w autobusie to „Cumba" miał za sobą pięciu z rodziny, teraz tylko czterech. A Zakrzewski tylko czasem i to za kierownicą.

Kierowcy na zachowanie się „Cumby" wściekają się, ale rąk od kierownicy oderwać nie mogą. Pozostaje więc im pisanie zażaleń do kierownictwa

zakładu transportu HPR-u. Jeden z nich autobusowe porachunki tak opisał:

Oświadczam, że dzisiaj odwoziłem pracowników z pracy na trasie Nowa Huta — Jaksice. Dojeżdżając do Śmiłowic zauważyłem, że zaczyna się szarpanina pomiędzy Korczami i Styczniem. Powiedziałem, żeby się uspokoili, bo mogą wybić szyby w autobusie i krówkę przyprowadzą do HPR-u. Trochę się uspokoili. Przy wysiadaniu w Śmiłowicach doszło do bitki w przodzie autobusu. Obawiając się, że mogą wybić szyby wypchałem ich z autobusu do rowu w śnieg i zacząłem krzyczeć, żeby ich rozciągnąć. Stary Korcz ich rozganiał. Pomagał jeszcze jeden pracownik, którego nazwiska nie znam. Do bitki doszło prawdopodobnie o porachunki z kawalerki.

Z każdego takiego meldunku Korcze muszą się tłumaczyć. Wychodzi przy tym nie tylko to kto zaczął, ale i kto kupił wódkę i bitkę sprowokował. O krówce, którą trzeba przyprowadzić do dyrekcji dla zatuszowania sprawy, wszyscy od lat opowiadają, choć tej metody jeszcze nikt nie spróbował.

Niedawno też „Cumba" został wezwany przed egzekutywę OOP, gdzie długo musiał się tłumaczyć dlaczego wszczyna awantury używając przy tym „łaciny". Rozmawiano też z Władkiem Korczem, który przyrzekł, że będzie w sytuacjach konfliktowych ojca hamował. Pomogło na krótki czas.

Tymczasem na przystanek pomiędzy barem a spalonym pałacem zajechał autobus z ludźmi z nocnej zmiany, którzy zgodnie z ustaleniami komitetu strajkowego utrzymywali produkcję. Tylko te wiadomości, które oni rano przywozili były z pierwszej ręki. Tym powracającym z nocy HPR-owcy wierzyli więcej, niż telewizji czy zagranicznym rozgłośniom.

Od przybyłych „z nocki" usłyszeli, że jeżeli dzisiaj do godz. 18 nie zostanie przerwany strajk, to wojsko wkroczy do kombinatu. Mówili, że huta najprawdopodobniej zostanie wzięta głodem. W niedzielę można było jeszcze dostarczać żywność dla strajkujących, od poniedziałku milicja kontroluje każdy samochód zbliżający się do huty i każdego wchodzącego przez bramę. Nie można na teren kombinatu wnieść więcej jak pół bochenka chleba. Jak ktoś ma więcej to odkrawają. Podobno zostały zawrócone samochody wiozące żywność dla strajkujących. Na zgniataczu dalej ma swą siedzibę komitet strajkowy. Pertraktacje z komisarzem wojskowym trwają. Przy bramie głównej „Solidarność" z samochodu wyposażonego w głośniki tłumaczy przyczyny strajku. Z drugiej strony ogrodzenia milicja włączyła sygnał dźwiękowy na jednym z samochodów, aby zagłuszyć to co tam mówią.

— Czy to prawda, że w wypadku wkroczenia wojska wyleci w powietrze tlenownia — zapytał Klimek.

— Bzdury. Czy wiecie co by się stało gdyby wyleciał taki zbiornik? Pół huty by poszło w gruzy. Tego nikt nie zrobi.

— A jednak mówią, że wysadzą.

— Nie słuchajcie. W nocy doszła do nas wiadomość, że komitet strajkowy Huty Katowice zaspawał się we wnętrzu wielkiego pieca. Każdy kto ma trochę pojęcia o hutnictwie będzie wiedział, że to przecież niemożliwe.

Wiadomości z huty zasmuciły zarówno partyjnych jak i „Solidarnościowców". Każdy wiedział, że po 18-tej skończy się spokój i może dojść do czegoś okropnego. Na przystanku ustały kłótnie polityczne i Woźniak z Kulikowskim przestali wygadywać na siebie.

— Aż korci mnie, żeby pojechać i zobaczyć co się tam dzieje — powiedział Klimek. — Może jednak coś po nas przyślą.

— A ja myślę, że dyrekcja robi wszystko, aby nas nie przywieźć — dodał Przytuła. — Przecież lepiej, że stoimy na przystanku czterdzieści kilometrów od huty niż siedzimy w pracy i strajkujemy. Nie wysłali samochodu specjalnie, bo chcą nas mieć daleko.

Sibiga, który był przecież wczoraj w hucie twierdził, że to wcale tak nie jest. Nie przysłali autobusu, bo czekają na zakończenie strajku. Wczoraj dyrekcja była przekonana, że dzisiaj się już wszystko zakończy. Teraz widocznie czekają na godz. 18-tą.

Rozmowa przy herbacie, po otwarciu baru przez Zonię, też się nie kleiła. Niepokój o kraj, o hutę, wreszcie o utratę własnej pracy ogarnął każdego. Nikt już nie chwalił się co udało mu się wynieść z huty, jak to popili w czasie pracy. Sytuacja sprawiła, że nagle spoważnieli. Nikt nie był w stanie przewidzieć do czego ten stan wojenny może doprowadzić.

W czasie dojazdów do pracy nigdy prawie nie rozmawiali o swoim przedsiębiorstwie, tylko o tym jak się zwolnić, jak pocyganić brygadzistę, jak bez wpisania bumelki mieć dzień wolny. Ta dzisiejsza cisza przed burzą zaniepokoiła ich. Co się stanie gdy konflikt władzy z „Solidarnością" zniszczy hutę, która daje im i ich rodzinom utrzymanie. Sam fakt pozostawienia ich na przystankach, bez żadnej wiadomości co mają robić, nasuwał podejrzenie, że może nie są już potrzebni.

— To chyba z powodu benzyny — wyraził przypuszczenie Władek Korcz. — Przecież stacja paliw HPR-u znajduje się na terenie objętym strajkiem i autobusy nie mogą tam dojechać.

— Naiwny jesteś — powiedział Klimek. — To musi być jakaś głębsza przyczyna.

Będąc cały czas myślami z tymi, którzy po 18-tej będą musieli stanąć naprzeciwko siebie, rozeszli się do domów.

Sroda 16 XII

Tak wcześnie jak dzisiaj to chyba jeszcze nigdy nie zameldował się na przystanku pełen komplet HPR-owców. Przytuła, choć najdalej mieszka, bo tuż koło przeprawy przez Wisłę, był już za pięć wpół do szóstej. Potem nadszedł Woźniak, który też ma swój dom dość daleko w stronę Hebdowa. Prawie zawsze ktoś był na chorobowym lub na urlopie. Teraz nie liczyły się żadne zwolnienia i urlopy, „Cumba" mógł siedzieć w domu, bo miał palec zabandażowany i L-4 na 9 dni, ale chciał koniecznie jechać do huty. Każdy martwił się co się tam wczoraj stało. Każdy do późna słuchał Polskiego Radia i rozgłośni zagranicznych, ale przez całą noc nic o Nowej Hucie nie mówiono.

— Widocznie jeszcze się bronią — pierwszy zaczął Kulikowski.

— Przecież nie mają żadnych szans z wojskiem — powiedział „Cumba", który tuż po wojnie 4 lata służył w ochronie rządu. — To przecież byłoby głupie porywanie się z motyką na słońce.

— A ja jednak myślę, że jest już po wszystkim — martwił się Kulikowski.

— Musimy zaczekać na tych z nocki. Jeżeli ich całych przywiozą. Chyba że przyjadą po nas wcześniej.

Zza zakrętu pędem wyjechał ciężarowy star pogotowia technicznego i pognał w kierunku Koszyc

i Sandomierza. Za nim jednak znowu jechało coś dużego. Wszyscy ponownie zasłuchali się w pracę silnika.

— Niech mnie kule biją, teraz to musi być jelcz — zawołał Klimek, który jest kierowcą i jeździ na samochodach ciężarowych.

— Tak, to będzie nasz „jelcz"! — poparł go „Cumba".

Gdy jednak obok nich przejechała cysterna przeznaczona do przewozu mleka, „Cumba" zaklął tak głośno, że gdyby pałac był zamieszkały, to obudziłby z pewnością wszystkich jego lokatorów.

W HPR-owskim autobusie każdy ma swoje miejsce i tylko on może na nim usiąść w drodze do pracy i z powrotem. Zdobycie własnego stałego miejsca nie jest rzeczą łatwą i poprzedzone musi być okresem wyczekiwania. Każdy nowy pracownik zaczynający dojeżdżać musi przejść w autobusie staż, w czasie którego podczas jazdy stoi lub siada na miejsce tego kto jest, na przykład, na urlopie lub zwolnieniu lekarskim. Takie pętanie się po autobusie trwa nawet kilka lat. Wszystko zależy od tego czy w międzyczasie ktoś zwolni się z pracy, umrze, lub dostanie mieszkanie w Nowej Hucie. Można też otrzymać miejsce z tytułu dziedziczenia po ojcu lub innym członku rodziny. Odchodzący na emeryturę czy zwalniający się z pracy musi wyraźnie zastrzec się, że swoje miejsce zatrzymuje dla kogoś z rodziny. Wtedy wszyscy narzekają, ale ostatnia wola odchodzącego jest na ogół szanowana.

Im bliżej przodu tym miejsca są ważniejsze i przysługują pracownikom o najdłuższym stażu zawodowym. Dla śmiłowiczan honorowe są cztery miejsca tuż za kierowcą, dla tych z Nowego Brzeska cztery fotele w połowie autobusu, tuż za ostatnimi „gaciarzami". Nikt bowiem ze śmiłowiczan nie

pozwoli, aby „krawaciarze” posunęli się do przodu chociażby o jeden rząd. W tyle autobusu mogą robić co zechcą, zmieniać miejsca jak zechcą, byle nie przekroczyć linii demarkacyjnej. Podobnie też nikt ze Śmiłowic nie pcha się do tyłu. Jedyny czasem wyjątek robi Woźniak, który lubi grać w karty, a wiedząc że śmiłowiczanie jak grają, to w durnia, woli przeżyć większe emocje w grze z „krawaciarzami”. Tam na ustawionych przodem do siebie fotelach gra idzie ostro i czasem w czasie 40-minutowej jazdy do pracy można wygrać i tysiąc złotych. To zadawanie się Woźniaka z karciarzami z Nowego Brzeska wypowiadane jest mu na przodzie autobusu przy byle okazji.

Miejsce tuż za kierowcą, przy szybie, od kilkunastu lat rezerwowane jest zawsze dla brygadzisty Bronisława Sibigi. Szesnaście lat temu Sibiga, Styczeń i Stefan Jabłoński, który jest już na emeryturze, chodzili za tym, aby zamiast osinobusu przedsiębiorstwo dało na tę trasę autobus. Ponieważ to oni wywalczyli autobus, wobec tego wszyscy byli zgodni, że to właśnie im należą się najlepsze miejsca. Mając prawo wyboru usiedli na przodzie, Sibiga za kierowcą, obok niego Stefan Jabłoński, na drugim siedzeniu od strony przejścia Leszek Styczeń. Z tych miejsc najlepiej widać trasę i tu chce się najmniej spać w czasie jazdy.

Sibiga codziennie wychodzi rano ze swym synem Ryszardem, który już rok stoi w autobusie i jeszcze nie zwolniło się dla niego miejsce. Nie bardzo może liczyć na odziedziczenie dobrego miejsca za kierowcą, gdyż ojciec wcale nie kwapi się do przejścia na emeryturę. Musi więc pokornie stać lub patrzyć kogo dzisiaj nie ma i można zająć mu fotel.

Udało się natomiast fliziarzowi Jerzemu Jabłońskiemu. Przez ponad rok stał lub siedział na masce

motoru grając w durnia z ojcem, Sibigą i Styczniem. No i ojciec postanowił przejść na emeryturę. Zanim jednak przyszedł ostatni raz do pracy zapowiedział w autobusie, że swojemu synowi nie dał majątku więc przynajmniej chce mu przekazać fotel w przodzie. Zrobił się wielki szum w autobusie, bo wielu miało ochotę na miejsce po starym Jabłońskim, a tu taki szczaw zajmie najlepszy fotel. Zgodnie z autobusowym prawem dziedziczenie było respektowane. Nigdy jednak jeszcze taki młody nie awansował aż do pierwszego rzędu. Stary Jabłoński wiedział, że na miejsce po nim czekają między innymi Gąsiorek, Kasprzyk i Olech, którzy pracują dużo dłużej niż jego syn. Stanowczo więc zapowiedział, że tu musi siedzieć Rysiek i nie może być już żadnej dyskusji.

Przez pierwsze miesiące młody Jabłoński siedząc na eksponowanym fotelu przeżywał gehennę. Starzy pracownicy HPR-u dokuczali mu przy lada okazji z powodu tego awansu w autobusowej hierarchii. Obecnie pierwsza autobusowa czwórka to od lewej Sibiga, młody Jabłoński, Styczeń i Klimek. W tej chwili do awansu Jabłońskiego już wszyscy przywykli.

Styczeń od lat jeździł na swoim miejscu w autobusie, aż w 1979 roku został wysłany na kontrakt do Iraku. Po roku pracy przy meliorowaniu pustyni koło Bagdadu wszedł do autobusu i zauważył, że jeden z pracowników o długim stażu w HPR-rze zajął jego miejsce. Koledzy wyrazili na to zgodę, gdyż widocznie myśleli, że jak Styczeń wróci z dolarami z Iraku, to nie będzie mu się chciało pracować w hucie. Nowy właściciel miejsca argumentował, że na jego awans wszyscy się zgodzili. Styczeń natomiast twierdził, że wyjazd zagraniczny to tak jak urlop. W czasie urlopu fotel jest rezerwowany

i to samo musi być gdy ktoś służbowo wyjeżdża za granicę. Dodał też, że nigdy nie zgodzi się, aby po tylu latach pracy był „potoraczem" i stał między fotelami. W końcu jednak Styczeń odzyskał utracone miejsce, a tamtemu zaproponowano inne, nieco bardziej w tyle.

Nawet „Cumba", który 8 lat temu rozpoczął pracę w HPR-rze i nie był już przecież młody, musiał swoje odstać i dopiero po kilku miesiącach mógł usiąść. Siedzi teraz w trzecim rzędzie po prawej, przy oknie. Na tym fotelu, nawet gdy „Cumba" jest na urlopie nikt nie chce usiąść. A nuż tak wejdzie i przyłoży kowalską łapą.

Długo na swoje miejsce czekał siedzący teraz w rzędzie za ojcem Władysław Korcz, ceniony tokarz w warsztacie samochodowym. Tuż obok Władka siada Adam Sędek z Hebdowa, który miejsce to uzyskał drogą dziedziczenia po Mieczysławie, drugim synu „Cumby". Gdy Mietek Korcz otrzymał mieszkanie w Nowej Hucie to powiedział Sędkowi, że ponieważ jego matka jest siostrą jego żony, niech to miejsce zostanie w rodzinie. Swoją wolę musiał też młody Korcz obwieścić wszystkim w autobusie.

Najdłużej na miejsce w HPR-owskim jelczu czeka Zdzisław Zawartka z Nowego Brzeska. Tak jak Woźniak lubi odwiedzać „krawaciarzy" w tyle, tak Zawartka czuje sympatię do „gaciarzy" i lubi siadać na pokrywie motoru, tuż koło kierowcy. Jest to zarazem jedyny „krawaciarz", którego tolerują śmiłowiczanie.

Zawartka czeka już na miejsce aż 7 lat i pobił w tym zakresie absolutny rekord. Będzie najprawdopodobniej czekał jeszcze bardzo długo, gdyż jego ambicje sięgają tak wysoko, że chyba są niemożliwe nigdy do spełnienia. Otóż Zawartka uparł się,

że musi siedzieć na jednym z czterech pierwszych miejsc w autobusie i że żadne inne go nie satysfakcjonują. Woli stać niż siedzieć gdzieś w tyle. W ciągu tych lat 7-miu dwa razy bardzo ostro walczył o miejsca w przednim rzędzie. Raz myślał, że uda mu się zdobyć fotel po prawej stronie przy oknie po pracowniku, który przeszedł na emeryturę. Nic jednak z tego nie wyszło, bo autobusowy samorząd postanowił tu awansować Klimka. Drugi raz łudził się, że dostanie miejsce po ojcu Jabłońskiego. W żadnym z tych dwóch wypadków śmiłowiczanie w ogóle nie rozpatrywali kandydatury Zawartki i choć jest to najsympatyczniejszy „krawaciarz" to jednak mieszka w Nowym Brzesku i do przodu go nie puszczą.

„Zaklepane" miejsce można ustąpić matce, żonie lub teściowej, ale wtedy samemu trzeba stać. Żadnym innym kobietom miejsca się nie zwalnia. Jak decydują się jechać „na łebka" to powinny wiedzieć, że w takich autobusach fotel przywiązany jest do pracownika i na żaden Wersal nie ma tu miejsca.

Za dwadzieścia siódma koło baru zatrzymał się autosan z ludźmi powracającymi z nocnej zmiany. Wysiadających zatrzymali nie tylko HPR-owcy, ale i kilkanaście innych osób, w tym sporo kobiet. Każdy chciał się dowiedzieć, co się dzieje w hucie?

— Weszli do huty? — pytano ze wszystkich stron.

— O pierwszej w nocy. Jak wychodziliśmy wojsko było na terenie całego kombinatu. Nie weszli tylko jeszcze na Walcownię Drobną, gdzie zebrało się sporo ludzi.

Posypały się pytania. Zmęczeni nocną zmianą pracownicy Huty im. Lenina, przez ponad pół godziny nie mogli pójść do domów. Opowiedzieli jak

to na niebie zabłysły rakiety, co oznaczało początek ataku. Od wieczora zresztą wyłączona była wewnętrzna centrala huty co wskazywało, że milicja i wojsko mogą wejść lada chwila. Wieczorem też przez megafony przemówił do załogi dyrektor naczelny kombinatu prosząc o zaprzestanie strajkowania. Mówił spokojnie, bez gróźb, ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że sytuacja może być groźna.

Wbrew przypuszczeniom załogi czołgi nie przejechały przez bramy kombinatu, gdyż bano się zasadzek, ale w kilku miejscach rozburzyły betonowe ogrodzenie. Kolumny wojska i milicji weszły równocześnie z kilku stron, od Zakładów Ogniotrwałych, od zgniatacza i od walcowni. Przy budynkach Centrum Administracyjnego czołg też zrobił dziurę w ogrodzeniu i dopiero od strony huty staranował autobus, którym zastawiona była brama główna. Wszystkie światła na czas ataku zostały powyłączane, co jeszcze bardziej spotęgowało grozę sytuacji.

Wprawdzie komitet strajkowy podjął uchwałę o niestawianiu oporu i w chwili wkraczania milicjantów śpiewano pieśni religijne to jednak do hal milicja wchodziła różnymi bocznymi wejściami lub wybijając szyby w oknach. Krążyły bowiem pogłoski, że do bram podłączony jest prąd elektryczny, że przygotowano różne zasadzki na milicję.

— Wychodzimy o 6-tej — kontynuuje dalej jeden z wielkich pieców — a tu przed bramą szpaler milicjantów, samochody pancerne, w krzakach czołg. Przy strażniku worek, do którego każdy wrzucał legitymacje pracownicze. Po sprawdzeniu przybijano literę „M".

— A co z komitetem strajkowym?

— Podobno schowali się na terenie huty.

— A co z Walcownią Drobną?

— Czekają widocznie jak się zrobi jaśniej.

Zakończenie strajku w hucie i uniknięcie rozlewu krwi, o co wszyscy się bali, ucieszyło Woźniaka i obydwu Korczów. Kulikowski uznał rozwiązywanie konfliktów przy pomocy wojska i milicji za najgorsze rozwiązanie. „Solidarnościowcy" zamknęli się w sobie przeżywając porażkę związku. Przestano więc skakać sobie nawzajem do oczu, obarczać odpowiedzialnością za kryzys gospodarczy, za puste półki w sklepach. Na przystanku doszły teraz do głosu kobiety, których dzisiaj przyszło tu sporo. Najgłośniejsza była Znajowa, żona pracownika HiL i zarazem prezesa Ochotniczej Straży Pożarnej w Śmiłowicach.

— A ja jestem rada, że Jaruzelski wprowadził stan wojenny, bo wiem co by się w Polsce działo. Jeden drugiego by pozabijał.

Zwracając się do stojących na przystanku mężczyzn zawołała:

— Próżnioki, nie chciało się wam robić. Chcieliście tylko siedzieć w barze. Bóg zapłać, że tą wódkę zlikwidowali. Człowiek miał tylko chwile szczęśliwości, jak byliście w pracy. Po powrocie zamiast iść do domu, do dzieci, to wszystko szturmowało bar. A ile nieszczęść było przez ten bar. Wychodził później jeden z drugim prosto pod koła samochodów. Szczepańskiego Wieśka i Józka — przejechało. Cieplińskiego — przejechało, Banacha — przejechało. W ciągu kilku lat tyle tragedii. A ile razy były bijatyki?

Znajową poparły inne kobiety i zaczęły bombardować faktami mężczyzn, którzy nie spodziewali się takiego frontalnego ataku. Przypomniały więc jak to w czasie bitki na festynie koło spalonego pałacu, jedna z dziewczyn straciła oko, bo dostała butelką. Powiedziały o innej zabawie, tym razem w remizie

strażackiej, w czasie której Janowi Wypychowi ucięli nos nożem, tak dla rozrywki. Mówiły o następnej zabawie w remizie, kiedy to omal nie zabili narzędziami od traktora Leszka Micudę, jak to szwagier szwagrowi rozpruł kosą brzuch, jak w czasie bijatyki jednemu ze Śmiłowiczan ugryziono ucho.

— S............, francowate pijaki — nie wytrzymała jedna z kobiet po wyliczeniu tylko niektórych grzechów ich mężów. — Ale kto ma dawać przykład, jeżeli sołtys też więcej urzęduje w barze, niż w domu. Jaka władza tacy ludzie.

Jak się kobiety rozzuchwaliły, to niesposób je było zatrzymać. Dalej dorzucały nowe fakty. Opisały jak to Mietek Gamoń i Tadek Rzepka bili się flaszkami po głowie. Najpierw jeden drugiego rąbnął w głowę, potem tamten gonił go przez pół godziny, aby wreszcie rozbić butelkę na jego głowie. Opisały, jak to w ubiegłym roku, pod lipą, koło pałacu znaleziono ciało martwego Staszka, który zapił się na śmierć. Na dokładkę wspomniały o Józku, byłym listonoszu, który z torbą pełną pieniędzy i listów szedł najpierw do baru. Torbę tę znajdowano w różnych miejscach Śmiłowic. Jego praca na poczcie skończyła się w więzieniu. Teraz siedzi już całymi dniami w barze, gdyż nigdzie nie pracuje. Zwiedził już prawie wszystkie nowohuckie przedsiębiorstwa, w każdym po miesiącu lub dwóch zawalał robotę i go wyrzucali.

Wśród kobiet, które przyszły dzisiaj na przystanek były dwie, które w imieniu miejscowego koła Ligi Kobiet pisały do władz żądając zlikwidowania baru. Po tych interwencjach ukazał się artykuł w prasie pod tytułem «„Uciecha" nie dla wszystkich» o tym, że w barze tym przesiadują ojcowie wielodzietnych rodzin i wszystko przepijają co zaro-

bią. Uciechę w tym lokalu mają mężczyźni, natomiast lokal ten to skaranie boskie dla kobiet. W wyniku tych protestów GS w Nowym Brzesku ograniczył godziny otwarcia baru, który teraz zamykano o 16-tej. Po kilku miesiącach, gdy utargi były minimalne i nikt nie chciał być kierownikiem tego baru, wszystko wróciło do starego.

— Jak przyjechaliście z pracy, to prosto do tej kaplicy — ciągnie Znajowa. — A ile to razy milicja was spałowała. Teraz, gdy od poniedziałku nie ma wódki, to przynajmniej można spokojnie przejść przez Śmiłowice. Może ten Jaruzelski trochę więcej uczciwości wprowadzi, aby jeden drugiego tak nie cyganił. Żeby nie rozkradli tę Polskę, tak jak nasz śmiłowicki pałac.

Mieczysław Nowak, były służący z pałacu miał więc wszystkie klucze od pałacu i przypuszczał, że uchowa dla nowej władzy cały ten majątek. Każdego jednak tygodnia stwierdzał, że kolejne okno zostało rozbite i wyniesiono następne przedmioty. Wyszabrowano tak kanapy, fotele, obrazy, fortepiany. Z pomysłu zrobienia tu szkoły rolniczej miejscowa władza zrezygnowała. W ogołoconym już ze sprzętów pałacu ulokowano gminę, pocztę, przedszkole, sklep, klub młodzieżowy oraz biura spółdzielni produkcyjnej.

Nowi właściciele pałacu rozpoczęli od przebudowy wnętrz i podzielenia dużych pokoi na mniejsze. Z pustaków wznoszono ścianki działowe, dostawiano przewody kominowe. Zdołano tu nawet zrobić dwa mieszkania.

Tylu było gospodarzy pałacu, że o budynek nikt nie dbał. Dach przeciekał, w piwnicach buszowały stada szczurów. Spółdzielnia produkcyjna kulała od

samego początku, aż wreszcie zamiast spodziewanych zysków zaczęła przynosić kolosalny deficyt. W 1958 roku, w środku nocy, śmiłowiczanie spostrzegli wielką łunę.

Teraz zaczęło się ponowne szabrowanie już płonącego pałacu. Jedni z narażeniem życia wynosili co było do uratowania, inni brali to do swych domów. Jedni wynosili towar ze sklepu i kładli na trawie, pozostali nieśli dalej. Następny etap plądrowania zaczęto już po ostygnięciu popiołów. Zabierano co się tylko dało, futryny, drzwi, balustrady, kafle z pieców, cegłę. W 1945 roku była to chyba zemsta na dziedzicu, teraz może na władzy ludowej.

W autobusie HPR-u sprawa spalenia pałacu powraca wielokrotnie. Nie tylko jeden drugiemu zarzuca kto co ma z pierwszego czy drugiego szabrowania, ale ludzie posądzają się wzajemnie o spowodowanie podpalenia. Omal do bijatyki nie doszło kiedyś pomiędzy „Cumbą" a Stefanem Jabłońskim, ojcem Jerzego. „Cumba" przy całym autobusie powiedział, że to Jabłoński spalił pałac, tamten znowu twierdził, że to „Cumba". Obaj pracowali w tej spółdzielni produkcyjnej i razem z innymi doprowadzili ją do upadku, a więc każdy tam miał jakieś powody, aby się tego strupa pozbyć i podzielić ziemię. Prawda jednak wyglądała zupełnie inaczej. Żona księgowego spółdzielni chciała przy pomocy ropy usunąć sadze z komina. Jak furknęło to nie tylko wyleciały sadze, ale i zaczął się palić cały pałac. Czy żona księgowego była zamieszana w jakiś spisek i zamiast ćwiartki butelki wlała do pieca pół wiadra ropy, tego dzisiaj po latach nikt nie jest w stanie udowodnić. Wkrótce po pożarze spółdzielnia została zlikwidowana.

Obecnie śmiłowiczanie z sentymentem wspominają pałac, który po wojnie spełniał tyle różnych funkcji i chętnie przystąpiliby do jego odbudowy. Szukają nawet bogatego mecenasa, który dałby na ten cel pieniądze. Przy pertraktacjach z władzami pomijają tylko fakt, że to nikt inny, ale oni sami doprowadzili do pożaru i potem burzenia ścian i stropów w celu uzyskania materiałów budowlanych.

O 9-tej Zonia otwarła „Uciechę" i HPR-owcy weszli na herbatkę pozostawiając jednego na czatach. Autobus mógł bowiem jeszcze przyjechać.

Gdy tak siedzieli i zastanawiali się dlaczego również i dzisiaj dyrekcja nie przysłała po nich samochodu chociaż przecież z wyjątkiem jednej walcowni strajk został zakończony, przed bar podjechał milicyjny radiowóz z Proszowic. Dwaj milicjanci weszli do baru i poprosili o pokazanie dowodów osobistych. Na pierwszy ogień poszedł Klimek. Milicjant oglądnął pieczątkę zakładu pracy i zapytał:

— A czemu to nie jesteśmy w pracy?

— Nie przysłali po nas autobusu.

— A kiedy przyślą?

— A któż to może wiedzieć?

— No i długo tak zamierzacie siedzieć i czekać? — zdziwił się milicjant, który teraz zauważył, że wszyscy pracują w tym samym przedsiębiorstwie.

— Aż coś przyślą — odpowiedział Przytuła.

— Tyle lat nas wozili — dorzucił Sibiga.

— A co by się stało gdybyście pojechali PKS-em? — zapytał milicjant.

— Ale jaki tam tłok i nie wszystkie PKS-y chcą stawać! — bronił się Przytuła.

— A wczoraj byliście w pracy? — zapytał milicjant.

— Od poniedziałku nic nie przysyłają. Już trzeci dzień.

Milicjanci nie bardzo wiedzieli co z tym fantem zrobić. Przyjechali wygonić z baru lumpów i nierobów, a tu zastali kilkunastu zdrowych mężczyzn czekających od trzech dni na przewiezienie ich 42 kilometry. Kontrolowali więc dalej dowody osobiste, aż dotarli do Gamonia. Ten pokazał im legitymację służbową oraz przepustkę do huty mówiąc, że dowodu zapomniał wziąć.

— Nie czytaliście zarządzenia, że trzeba chodzić wszędzie z dowodem?

— Skoczę do domu i przyniosę. Mieszkam 200 metrów stąd, koło remizy!

— Płacicie tysiąc złotych! — poważnie powiedział milicjant.

Gamoń prosił o mniejszą karę, inni stanęli w jego obrcnie. Ostatecznie zapłacił 500 zł. Tym samym Józek Gamoń został w Śmiłowicach pierwszą ofiarą stanu wojennego.

W chwilę po odjeździe milicji każdy wrócił do domu.

Czwartek 17 XII

Na przystanku nikogo nie zabrakło. Rozmowa zaczęła się oczywiście od wczorajszej interwencji milicji i wojska w hucie. Po chwili znowu byli podzieleni na dwa obozy. Tym razem po Kulikowskim najbardziej jeździł „Cumba".

A pamiętasz kto ci zapewnił pracę i stworzył odpowiednie warunki. Hutę zaczynało się budować od łopaty i kilofa, a ty teraz masz maszyny, automaty, komputery i jeszcze ci się coś nie podoba?

— Maszyny to mamy, ale spróbuj kupić nowe widły! W hucie są japońskie automaty, a rolnik nie ma czym gnoju rozrzucić. Podobno widły sprowadzamy z Czechosłowacji.

„Cumba" mówił o wielkich sprawach, używał wielkich słów, a Kulikowski dawał mu przykład sprawy maleńkiej, ale przecież również ważnej. Rozgrzewali się dyskusją, bo było zimno, a autobusu dalej nie było widać.

— Dzisiaj to już musi lecieć — stwierdził Władek Korcz stając na środku jezdni i patrząc w stronę Hebdowa.

— Strajku już nie ma, więc chyba przyjedzie — powiedział Woźniak. — Chyba, że już nas zwolnili za trzy bumelki?

— Ciebie nie zwolnią.

— Może wreszcie do pioruna ktoś nam powie dokąd mamy tu stać! — zdenerwował się Klimek.

Szosą przejeżdżały różne samochody, ale żaden nie był autobusem KRA 216b. Na przystanek pod barem przyszła cała czwórka wsiadająca pod domem Stycznia oraz trzy osoby z Hebdowa. Co kto przyszedł to przynosił inną wiadomość. Aby zorientować się co jest prawdą, a co plotką, trzeba było poczekać na przyjazd nocnej zmiany z wielkich pieców. Byli o 6.40.

— Wczoraj rano ZOMO weszło na Walcownię Drobną — zrelacjonowali. Było tam kilkaset ludzi, którzy trzymali się za ręce i śpiewali pieśni. Mimo że nie stawiali oporu, milicjanci weszli z tarczami i pałkami.

— A co z Gilem i członkami komitetu strajkowego?

— Podobno przeszli kanałami pod walcownią i schowali się gdzieś na terenie kombinatu. Zobaczcie co piszą o hucie w gazecie.

Tu jeden z hutników wyciągnął egzemplarz jedynej ukazującej się w Krakowie gazety powstałej w wyniku połączenia się trzech dzienników. Była to informacja o tym jak to w Hucie im. Lenina pracuje pięć wielkich pieców, natomiast szósty jest w remoncie. Po przeczytaniu tego wszyscy zaśmiali się bardzo głośno. Każdy bowiem wiedział, że w HiL jest tylko pięć wielkich pieców. Kiedyś wprawdzie zaczęto robić fundamenty pod piec szósty, lecz inwestycję przerwano. Jak wynikało z notatki to chyba oni, jako remontowcy powinni pracować na tym szóstym nieistniejącym piecu.

— No to wiecie gdzie pracujemy — zawołał „Cumba" — posłali nas na szósty wielki piec!

Gdy dawniej autobus spóźniał się to nikt na przystanku nie denerwował się. Jak spóźnili się do pracy, to zawsze była wina przedsiębiorstwa. Jadąc w kierunku pracy byli bardzo zadowoleni jak się coś w motorze zepsuło. Dwie godziny postoju na szosie to o dwie godziny mniej pracy. Gdy w drodze do pracy trzeba było kierowcy pomóc przy zmianie koła, to nie było nikogo chętnego. Kiedyś pękła dętka może 2 kilometry od bramy, przez którą wchodzą do huty. Nikt jednak nie poszedł piechotą, choć byłby w pracy dużo szybciej. Wszyscy czekali aż kierowca sam upora się z kołem. Było to w lecie więc weszli do kopek siana i czekali na naprawę.

Natomiast co innego w drodze powrotnej do domu. Szczególnie każdy popędza kierowcę na wiosnę i w lecie. W czasie żniw to musi jechać na złamanie karku. Cały autobus krzyczy: szybko!, szybko! Inaczej jest tylko w dniach wypłat oraz w zimie. Wtedy można zatrzymać się przed sklepem w Wawrzeńczycach lub barem w Nowym Brzesku. Odkąd jednak wprowadzono kartki, ilość takich przystan-

ków znacznie zmalała. Po 15-tym już mało kto ma kartkę na alkohol.

Gdy mężczyźni już zmęczyli się dyskusją i czekali na otwarcie baru, inicjatywę przejęły kobiety, których dzisiaj również sporo przyszło na przystanek. Tu tylko można było zweryfikować wszystko co słyszały w radiu lub oglądały w telewizji. Tu też na bieżąco komentowano każde zdarzenie.

Mężczyźni stojący na przystanku i czekający na autobus Hutniczego Przedsiębiorstwa Remontowego byli teraz ze sobą bardziej skłóceni, niż przed stanem wojennym. Tydzień temu również Woźniak kłócił się z Kulikowskim a Klimek z „Cumbą", obydwa obozy atakowały się nawzajem. W ubiegłym tygodniu nie było jednak zwycięzców i zwyciężonych. Teraz nierówność sił powodowała u „solidarnościowców" agresję, obrzucano się wyzwiskami, ciągle grożono użyciem pięści.

Zupełnie inaczej zachowywały się kobiety śmiłowickie, dla których wycofanie wódki i piwa z baru „Uciecha" było już największym zwycięstwem Jaruzelskiego. Tyle lat o to bezskutecznie walczyły i wreszcie doczekały się. Jeżeli Jaruzelskiemu udało się wycofać wódkę, to na pewno stać go na zrobienie porządku w całych Śmiłowicach.

— Może wreszcie ten Jaruzelski zejdzie na sam dół i zobaczy jak wygląda wiejska władza, jak to baby musiały sprać sołtysa po twarzy, bo ciągle pijany i nic nie można załatwić. A tymczasem on decyduje komu przydzielić maszyny z kółka rolniczego. Jak mu ktoś postawi wódkę, to maszynę dostanie, chyba że zapisze „na brudno" i potem kartka mu zginie.

— Niech Jaruzelski zobaczy jak to niektórzy w naszej wsi kupują wino poza kolejnością na legitymacje ZBOWiD-u.

— Jak u nas w Śmiłowicach była gmina to wszystko było, owies, jęczmień, sadzeniaki. Teraz w GS-ie w Nowym Brzesku są tylko dwaj prezesi. Siedzą tylko za biurkami i mówią, że mają pusto w magazynie.

— Za Gierka mieliśmy lepiej, nie musiał się człowiek martwić o nawozy. Przywieźli ciągnikiem, wysypali na podwórzu, dali kwitek. Teraz to po pięć razy trzeba jeździć do Nowego Brzeska i stać nocami w kolejce. To samo z węglem.

— A ja chciałabym, aby wojsko wprowadziło więcej uczciwości, by jeden drugiego tak nie cyganił jak dotychczas.

— Jak we wsi byli silniejsi partyjni, to przydzielali samym partyjnym, jak była „Solidarność" to załatwiali dla „Solidarności", a ciemniaki dalej nic nie dostawały.

— Niech wojsko dowie się gdzie jest cement, który był przeznaczony na budowę drogi od szosy do remizy.

— Jak mieliśmy przedszkole we wsi to było wszystko dobrze. Odkąd wymyślono przedszkole zbiorcze w Hebdowie to po dzieciaki raz przyślą autobus drugi raz nie i dzieci godzinami czekają na szosie.

— Czy nikt nie widzi, że nasz kiosk we wsi otwierany jest tylko w piątki. Wtedy przychodzi towar. Kioskarka w ciągu jednego dnia towar sprzęda i potem nie pokazuje się przez cały tydzień. Nikt tego jednak nie widzi, bo na dole nie ma żadnej władzy.

— Żeby Jaruzelski ukrócił tę biurokrację. Mąż mi mówił, że u nich w hucie to często jest jeden brygadzista, jeden mistrz i dwóch pracowników.

Na babskie gadanie mężczyźni nie reagowali, tym bardziej, że już przyjechała Zonia i rozpalała pod

piecem w kuchni „Uciechy". O 9-tej zaprosiła wszystkich na herbatę i mrożone naleśniki. Przy stolikach próbowali ustalić co robić jutro. Pawlickiego, który na własną rękę pojechał do huty we wtorek, zapewniano w dyrekcji, że w środę to na sto procent będzie wysłany autobus. Minął kolejny dzień i nic nie przyjechało. Do środy „solidarnościowcy" nalegali, aby mimo wszystko jechać do huty, gdyż chcieli dołączyć do strajkujących, partyjni natomiast radzili, aby czekać. Od dzisiaj sytuacja zmieniła się diametralnie. Partyjnych ciągnęło do pracy, „solidarnościowcy" woleli stać na przystanku i czekać do skutku.

Piątek 18 XII

Pierwszy na przystanku był dzisiaj Gamoń. Widząc zbliżającego się Klimka krzyknął:

— Sylwek, gdzie dzisiaj pracujemy?

— Na szóstym wielkim piecu — odpowiedział bez chwili wahania Klimek.

— A widziałeś pożar?

— Widziałem.

Wkrótce przyszli pozostali i o niczym innym nie rozmawiali jak o spaleniu stodoły w gospodarstwie tuż za „Cumbą". Była prawie nowa, pod sam dach wyładowana zbożem. Z mieszkańców okolicznych domów na pomoc sąsiadom ruszył tylko Władek Korcz z ojcem. Zdołali wyciągnąć siewnik. Nowy wóz za który sąsiad dał 30 tys. złotych już się spalił. Nie dali rady go wyciągnąć, gdyż płomienie obejmowały już drzwi stodoły.

— Gdy my ratowaliśmy, co się dało to inne s... stały wokół i się śmiały — mówił zdenerwowany,

„Cumba" — a wszystko za to, że w rodzinie jest ZOMO-wiec.

Co do przyczyn pożaru HPR-owcy nie mieli wątpliwości. Była to zemsta za tolerowanie funkcjonariusza ZOMO w rodzinie, który brał ponadto udział w ataku na hutę. Pierwsze zetknięcie ze stanem wojennym odbyło się w czasie wizyty milicjantów w barze, kiedy to Gamoń zapłacił 500 zł grzywny. Było to jednak niczym wobec tego, co stało się tej nocy. Zrozumiano, że nieporozumienia nie kończą się na kłótniach pomiędzy Woźniakiem a Kulikowskim. Linia podziału pomiędzy zwolennikami stanu wojennego a przeciwnikami biegnie nie tylko przez przystanek, ale również i przez wieś.

O 6.40 nadjechał autosan z huty. Powracający po nocy byli zaskoczeni, że HPR-owcy nadal stoją na przystanku, choć huta już przecież pracuje.

— Ale czemu o nas zapomnieli? — głowił się Władek Korcz.

— Chyba nam za ten okres zapłacą? — zaniepokoił się Pawlicki.

— Przecież to nie nasza wina, że nie pracujemy. — wyjaśniał Klimek — Muszą zapłacić. Jesteśmy przecież codziennie na przystanku, czyli zgłaszamy się do pracy. Od poniedziałku nikt z nas nie opuścił ani jednego dnia. Takiej frekwencji już dawno nie pamiętam.

— A może pchnąć kogoś do Nowego Brzeska do Groszaty? Może na tamtym przystanku coś więcej wiedzą? — proponował Przytuła.

Stanisław Groszata, murarz, jest brygadzistą wozu. To on posiada listę osób uprawnionych do podróżowania HPR-owskim jelczem, decyduje komu przyznać które miejsce, daje kierowcy znak, że wszyscy już są i można jechać. Groszata siedzi dokładnie w połowie autobusu w pierwszym rzędzie

zajętym przez „krawaciarzy" i niejako jest tym, który powinien godzić przód autobusu z tyłem. Autobusowy brygadzista musi też zażegnywać konflikty w czasie jazdy, w czym najczęściej wyręcza go „Cumba". Gorzej gdy sam kowal wszczyna kłótnię. Za „Cumbą" natychmiast staje jego rodzina i przy stosunku pięciu do jednego brygadzista nie ma żadnych szans. Groszata bowiem ma urząd, natomiast władzę ma „Cumba". Również i w słowach „Cumba" jest lepszy i jak pojedzie „łaciną" to przekrzyczy cały autobus.

O wpół do 9-tej przyjechały PKS-em dwie kobiety i opowiedziały jak to przez całą noc stały w Nowym Brzesku po węgiel. Po 23-ej pod bazę GS-u przyjechała milicja i kazała się wszystkim rozejść. Kilkadziesiąt osób stojących w kolejce pochowało się po bramach, potem mężczyźni zrobili dziurę w siatce i wszyscy weszli na teren bazy. Strażnik był przerażony i groził zatelefonowaniem na milicję, ale widząc zziębniętych ludzi pozwolił im ogrzać się w baraku. Tam też przeczekali do rana. O 7-ej przyszli urzędnicy i powiedzieli, że dzisiaj kwitów nie będą wydawali. Jest bowiem stan wojenny i nie dostali jeszcze instrukcji co mają robić.

Od kilku miesięcy autobusy Hutniczego Przedsiębiorstwa Remontowego nr 3 przestały wjeżdżać z ludźmi na teren kombinatu i zatrzymują się przed bramą nr 5 czyli na „Meksyku". Kiedyś stało tu kilkadziesiąt baraków, w których mieszkali pierwsi budowniczowie huty. Od tego, co się tam działo, nazwano ten teren „Meksykiem".

Zarządzenie dyrekcji HPR-u zabraniające kierowcom zawożenia pracowników wprost na stanowiska pracy spowodowane było niemożnością zapobieżenia wywożeniu w autobusach różnych materiałów z terenu huty. Aby schować różne żela-

stwa rozpruwano fotele, gdzie się dało chowano rurki, pręty a nawet całe silniki. Początkowo próbowano temu zaradzić wprowadzając obowiązek wysiadania przed bramą i przechodzenia piechotą koło strażnika. To samo dotyczyło przyjazdu do pracy kiedy to strażnicy mogli zaobserwować komu się „dupa zaplata" i zawrócić go do domu.

Po pewnym czasie musiano całkowicie zakazać wywożenia pracowników z terenu huty. Wszyscy bowiem na bramach wysiadali, przechodzili przed strażnikiem z pustymi teczkami, natomiast w autobusie chowali co się dało. W trakcie sprawdzania autobusu strażnicy znajdowali różne narzędzia, przyrządy, do wywożenia których nikt się nie przyznawał. Potem nauczono się mówić, że to wszystko jest własnością kierowcy. W ten sposób kilku kierowcom odebrano na bramie przepustki do kombinatu. Teraz każdy z HPR-owców musi za karę iść kilkaset metrów dalej od bramy do szatni.

Dzisiaj wszyscy zaczęli poważnie się martwić czy przypadkiem rzeczywiście nie podłożono bomby pod tlenownię. Również „Solidarnościowcy" stanowczo opowiedzieli się przeciwko takim metodom walki.

Tematem, o którym trzeba było na przystanku mówić tylko szeptem była sprawa bimbru. Po kilku dniach abstynencji i szoku spowodowanego stanem wojennym ruszył w Śmiłowicach przemysł bimbrowniczy. Ta największa dla śmiłowiczan dolegliwość już po kilku dniach stała się zupełnie niegroźna. Wprowadzenia godziny milicyjnej w Śmiłowicach nikt nie zauważał gdyż i tak o 23-ej już wszyscy spali.

Na przystanek przyszedł dzisiaj liczący ponad 80 lat Kazimierz Koza, jeden z pierwszych budowni-

czych Nowej Huty. Zaczynał pracę w 1949 roku, gdy jeszcze w miejscu dzisiejszej huty były pola.

— Ja bym tylko wprowadził w Polsce zasadę — jak robisz to masz, jak nie robisz to nie masz. Jak pracowałem przy hucie to wódki miałem ile chciałem, bo dostawałem od furmanów i od kierowców. A że byłem honorowy więc również i sam musiałem postawić. Wypiliśmy co trzeba, ale robota musiała być zrobiona. Dlatego ja bym wprowadził ścisłą dyscyplinę i porządek. Każdy musi wiedzieć co ma robić .

— Tego przecież chce Jaruzelski — ktoś wtrącił.

— Tak, zgadzam się. Tylko że tego nie można osiągnąć przy pomocy wojska i milicji. Każdy musi sam zrozumieć, że najważniejszy jest porządek i dyscyplina.

— A jakby to dziadek zrobił?

— Pierwsze to bym się wziął, ale solidnie, za złodziei, a po drugie zacząłbym nagradzać dobrze pracujących. Ludzie muszą poznać, że władza jest sprawiedliwa. Ja mam tylko sześć klas. Ale w szkole w Zawierciu miałem dobrego nauczyciela i on mnie tego nauczył.

Do baru, gdzie przenieśli się dyskutanci z przystanku, znowu przyjechali milicjanci, ale inni. Tym razem wszyscy mieli przy sobie dowody osobiste. Oni też dziwili się dlaczego wszystkie stoliki zajęte są przez pracowników jednego przedsiębiorstwa.

— Sprawdzają dowody osobiste — powiedziała za nimi jedna z kobiet stojących na drodze. — Niechby zainteresowali się jak wygląda u nas służba weterynaryjna. Byłam w Nowym Brzesku u Szmigla i powiedziałam mu, że krowa choruje, to powiedział, że jest stan wojenny i nie ma benzyny. Poszłam więc do Szwai. Ten też oświadczył,

że nie dali mu talonów na benzynę i nie pojedzie. No i wczoraj krowa mi zdechła. Czy oni nie wiedzą, że w stanie wojennym krowy też chorują?

HPR-owcy rozstali się gdzieś koło 11-tej. Nikt nie wiedział czy jutrzejszy dzień to wolna sobota czy też mają jechać do pracy. Postanowili jednak spotkać się rano na przystanku.

Sobota 19 XII

Znowu na przystanku był pierwszy Jan Gamoń. Gdy zobaczył nadciągającego Przytułę zawołał:

— No to gdzie dzisiaj pracujemy?

— Będziemy remontowali szósty piec! — odpowiedział Przytuła.

Za chwilę już wszyscy byli w komplecie. Przed nimi szósty dzień na przystanku. Dreptając w miejscu opowiadali sobie jak to różnie bywało w autobusie. Gamoń przypomniał jak to „Cumba" krzyczy, gdy kierowca doda gazu: „Pomału do pierona, bo te resory powylatują", albo „Te pierony kierowcy to tyle łebków najebią, a to są resory na poślizg, bez uszu". Gdy coś wypił to krzyczał, że cały autobus to „moja familija, wszystko moja krew!". We wsi nie mógłby tak zachowywać się, bo jednak większość w Śmiłowicach stanowią „chocie" czyli Zakrzewscy. „Chocie" wzięło się podobno stąd, że Zakrzewscy wołając swoje dzieci krzyczą: „chocie, chocie".

Znowu pod bar przyszli HPR-owcy wsiadający pod domem Stycznia i w Hebdowie. Ten autobus był dla wielu śmiłowiczan często jedynym powodem podjęcia pracy w HPR-rze. Na przykład Władek Korcz chciał pracować w „Budostalu", ale przedsiębiorstwo to prowadzi budowy w różnych miej-

scach i dojazdy ze Śmiłowic były niemożliwe. Tymczasem HPR przywozi ich do pracy i odwozi do domów.

Na trasie Nowa Huta — Jaksice, przez Śmiłowice jeździ na zmianę sześciu kierowców z bazy transportowej Hutniczego Przedsiębiorstwa Remontowego. Każdego z nich w Śmiłowicach dobrze znają i prawie każdemu mówią po imieniu. Najwięcej o wszystkich śmiłowiczanach wsiadających zarówno pod domem Stycznia jak i przy barze wie Gieniek Zakrzewski, z tych właśnie Zakrzewskich, których 10 rodzin mieszka w Śmiłowicach. Najpierw Gienek jeździł w HPR-rze na ciężarówce, a dopiero od 8 miesięcy autobusem.

„Murzyn" prowadząc autobus musi liczyć się ze słowami, bo przecież swoich krajan spotyka w barze i na zabawie. Natomiast żadnych tego typu hamulców nie musi mieć inny kierowca, Franciszek Prorok zwany „Pompą". To przezwisko wzięło się stąd, że kiedyś nawaliła w autobusie pompa wtryskowa. Teraz pompa zawsze kojarzy się wszystkim z Prorokiem.

„Pompa" nie ma skrupułów i na śmiłowiczan jedzie z grubej rury. Najczęściej powtarza, że „Baby z Jadownik a chłopa ze Śmiłowic, to trzeba się wystrzegać jak ognia i wody". Wyjaśnia przy okazji, że w pobliskich Jadownikach to kobiety każą mężom przynosić do domu nie tylko pieniądze, ale i odcinki z listy wypłat. Tam też chłop nie ma prawa wejść do baru, bo zaraz za nim wejdzie kobieta. Nie tylko publicznie nakrzyczy na męża i każe mu iść do domu, ale jeszcze potrafi stół wywrócić, wylać wódkę o którą dzisiaj tak trudno, a nawet po pysku spierze. „Pompa" dodaje też, że jeździł na trasie do Jadownik i sam to obserwował. Dorzuca też, że z taką babą to on by chwili nie wytrzymał.

Natomiast co do chłopów ze Śmiłowic to „Pompa" mówi, że w tej miejscowości to brat brata gotowy jest w łyżce wody utopić. Mężczyźni są bardzo mściwi, biją się o byle co. Gdy ktoś znajdzie się w nieszczęściu, to nikt nie pomoże. W Śmiłowicach nie ma żadnej jedności wśród ludzi, każdy dba o siebie i myśli jak dokuczyć sąsiadowi.

Najweselszym z kierowców jest Jan Drożdżowski, zwany „Beką". W zajezdni HPR-u znajduje się barak typu BK-80 i Drożdżowski powtarzał, że po kursie zjeżdża na „Beka". Stąd tak zaczęto go nazywać. Ponadto na tej trasie od lat jeżdżą Zenon Przykowski, Fryderyk Juszczyk i Bronisław Kosma.

Przedmiotem zgrzytów pomiędzy kierowcami a pracownikami HPR-u są najczęściej ludzie spoza przedsiębiorstwa zbierani po drodze. „Cumba" wtedy krzyczy: „Najebie 150 łebków i potem dziadek musi resory wymieniać". Czasem też „Cumba" dorzuci złośliwie: „Wychodzą z autobusu jak ksiądz po mszy". Na to kierowcy odpowiadają, że teraz nie jest to znowu taki interes jak dawniej i dalej jeżdżą „za jajeczko". Przedtem na trasie Nowa Huta — Śmiłowice każdy łebek rzucał im najczęściej 5 zł czyli tyle ile kosztowało jedno jajko. Teraz też dają 5 złotych choć jajka podrożały trzykrotnie.

HPR-owcy wytykają też kierowcom, że po odwiezieniu ich do domów, jadąc pustym autobusem, przewożą różne rzeczy. Podobno widziano jak w autobusie HPR-u jechało ciele. Mówią, że wożą świnie w bagażnikach. „To jest dla was Ameryka"! — krzyczy na kierowców „Cumba" — Ludzie dają wam na tacę, a wam się nie chce posprzątać autobusu!".

Przed szóstą przyjechali z nocnej zmiany i powiedzieli, że w hucie spokój, na wszystkich wydzia-

łach już pracują. Nie mogli się nadziwić dlaczego HPR-owcy jeszcze nie odjechali.

Przez 16 lat dojeżdżania autobusem tak każdy z HPR-owców przyzwyczaił się do swojego „zaklepanego" fotela, że nagle, gdy zabrakło autobusu, poczuli się jak na bezludnej wyspie. Przez całe sześć dni nie byli w stanie zdecydować się na korzystanie z PKS-u, bo tam trzeba nie tylko kupić za własne pieniądze bilet, ale gnieść się. Zgodzili się na pracę przy remontach hutniczych ze względu na ten autobus. Nie ma autobusu więc nie ma pracy.

Tygodniowa bezczynność co chwila ruszała czyimś sumieniem. Niejeden już chciałby być w pracy, ale jak to powiedzieć kolegom. Przecież za Sibigą czy Pawlickim, którzy na własną rękę pojechali zobaczyć co słychać w pracy, posypały się wyzwiska. To stanie na szosie i wypatrywanie autobusu zaczynało ich już męczyć bardziej niż praca w hucie. Tam przynajmniej coś robili; widać było efekty. Tu tylko wypatrywali niebieskiego jelcza.

Koło 8-ej na przystanek przyszło kilka żon HPR-owców sprawdzić jaka to jest przyczyna, że mężowie nie jeżdżą do pracy.

— Szczęśliwy był człowiek jak pracowali w tej hucie. Teraz kręcą się i kręcą szukając gdzie tu można coś wypić. Nie wiem co by to było, gdyby tej huty nie wybudowali.

— A ja już myślałam, że stan wojenny skończy z lumpami.

— Co z tego stanu wojennego wyniknie?

— Ja też chciałabym wiedzieć.

— Jak też Jaruzelski nie dojdzie do gminy i nie zobaczy co się dzieje na dole, to nic nie wskóra.

O 9-tej otwarły się się drzwi baru i rozdyskutowane kobiety można było pozostawić na szosie.

Od środy, czyli od zakończenia strajku w hucie dyskusje polityczne osłabły i na ich miejsce wkroczyła wzajemna nieufność. W barze dwaj Korcze i Woźniak siadali osobno, Kulikowski z Klimkiem i kilkoma innymi też oddzielnie. Niezdecydowani również trzymali się razem. Przy stoliku „solidarnościowców" rozmawiano szeptem. Natomiast Woźniak i „Cumba" czuli się teraz bardzo pewni siebie.

Ponieważ do 11-tej nie przysłano po nich autobusu postanowili się rozejść i spotkać w poniedziałek rano. Jeżeli natomiast ich jelcza nie będzie to wszyscy byli zgodni co do tego, aby pojechać z PKS-em.

Wychodząc z baru Woźniak zatrzymał Kulikowskiego.

— Staszek, powiedz mi czego ty właściwie chcesz? Bo ja ciebie nie rozumiem.

— Ja ciebie Staszek też nie mogę pojąć.

Poniedziałek 21 XII

— Jest! — pierwszy krzyknął Przytuła.

— Nareszcie! — wyrwało się wszystkim z ust.

Jeszcze nigdy widok tego wysłużonego HPR-owskiego jelcza nie sprawił im takiej radości.

Jan Lewandowski

DZIEWCZYNA I BESTIA

Ulgowy dyżur

— Ktoś musi zastąpić Kryśkę — powiedziała do zgromadzonych pielęgniarek przełożona Irena Walczak. — Nie jest to ciężki dyżur i przypada za trzy dni, dziesiątego marca. Od godziny dziesiątej wieczorem do ósmej rano. To dobrze wyposażone ambulatorium — zakończyła bez przekonania i powiodła wzrokiem po kobietach w bieli.

Żadna z pielęgniarek nie wyrażała ochoty objęcia zastępstwa. Były przemęczone pracą. Zarabiały kiepsko, czasami trafiała się „fucha", dyżur w czyimś mieszkaniu, „prywatny" zastrzyk. To by pociągało bardziej, niż dziesięciogodzinny dyżur w ambulatorium przyfabrycznym.

— Pójdzie więc Hanka — postanowiła przełożona i uniosła długopis, aby wpisać nazwisko do zwisającej na łańcuchu księgi o postrzępionych brzegach okładek.

— Dlaczego ja? — oburzyła się dziewczyna w zawadiacko przekrzywionym czepku. — Ja muszę brać dyżur, którego nikt nie chce, ja mam zawsze najgorsze warunki i pani nie liczy się z moim prywatnym życiem. Dziesiątego marca są imieniny wuja, a mnie na dyżur! Jak pani...

— Chwileczkę — odezwała się młoda, 25-letnia pielęgniarka o włosach koloru ciemnoblond i niebieskich, jakby zdziwionych oczach. — Jeżeli nikt nie chce, to ja wezmę ten dyżur.

— Ale ty nigdy nie byłaś jeszcze w ambulatorium „Linodrutu" — powiedziała przełożona. — Nie znasz warunków...

— To nic, przecież wszędzie jest w końcu tak samo — odrzekła z uśmiechem Halina Kozera. — Proszę mnie wpisać na ten dyżur a Hanka niech świętuje z wujkiem — mrugnęła do koleżanki, która pojaśniała na twarzy. Przełożona skinęła głową i wpisała do księgi dyżurów ochotniczkę. Dziewczyny zaczęły się rozchodzić, wkładając wiosenne płaszcze, za oknami rozkwitała wczesna wiosna. — Dziękuję! — zawołała już od drzwi Hanka, machając dłonią do Haliny.

— Cóż — powiedziała przełożona — ja też ci dziękuję. Ludzie nie myślą na ogół o innych, tylko o swojej wygodzie. Ale powiem ci uczciwie, Halinko: to rzeczywiście ulgowy dyżur. Nic tam nie ma prawie do roboty, siedzisz sobie przez noc, czytasz książkę, albo robisz na drutach. I zdrzemnąć się można, bo jak trafi się pacjent, to i tak przyprowadza go portier z hotelu robotniczego. No, to byłoby wszystko. O dziesiątej wieczorem przyjdź do ambulatorium „Linodrutu", będą tam czekać na twoją zmianę. Nie spóźniaj się tylko.

— Nigdy się nie spóźniam — odpowiedziała Halina Kozera zgodnie z prawdą.

Trzej pacjenci

Trasę dojazdu do „Linodrutu" wytłumaczył Halinie jej mąż wraz z ojcem, trzeba było jechać auto-

busem, a potem przejść spory kawałek piechotą. Halina zabrała torebkę, ucałowała śpiącą już w sąsiednim pokoju, dwuletnią córeczkę i wyszła na ulicę dokładnie o wpół do dziewiątej wieczorem. Nie czekała zbyt długo na autobus, a kiedy przybyła na miejsce, zapytała jeszcze przechodzącą obok przystanku kobietę, czy dobrze wybrała kierunek na „Linodrut". Odpowiedź brzmiała twierdząco. W kilkanaście minut później Halina stanęła przed jednopiętrowym budynkiem ambulatorium, dwa świecące okna na piętrze wskazywały, gdzie dyżuruje oczekująca na zmianę pielęgniarka. Halina złożyła dłonie i zawołała:

— Siostro, jestem!

Była godzina za kwadrans dziesiąta i pielęgniarka wewnątrz zapewne czuwała, sposobiąc się do wyjścia. Niemal natychmiast otwarło się podświetlone okno i kobiecy głos zapytał:

— Zmiana?

— Tak, już jestem!

— Uwaga, rzucam klucze! — zawołała kobieta w oknie i na asfalcie, zalegającym plac przed budynkiem brzęknął metal. Halina podniosła klucze, otworzyła sobie drzwi i weszła na piętro, do woniejącego medykamentami pomieszczenia. Dyżurna siostra króciutko objaśniła przybyłą o toku pełnienia dyżuru a potem powiedziała, że w nocy tryb przyjmowania pacjentów jest nieco skomplikowany.

— Drzwi budynku — mówiła — są przez cały czas zamknięte aż do rana, kiedy to otwiera je portierka. Ta sama portierka na wypadek potrzeby udzielenia komuś pomocy, najpierw telefonuje do ambulatorium, a następnie posiadanym przez siebie kluczem otwiera drzwi i wpuszcza ewentualnego pacjenta. No i to cała filozofia...

Pożegnały się krótko. Halina odprowadziła koleżankę na parter i zamknęła po jej wyjściu drzwi, a potem poszła do gabinetu zabiegowego, rozejrzeć się nieco w pomieszczeniu, gdzie dyżurowała po raz pierwszy w życiu. Chciała zobaczyć dokładniej, gdzie leżą strzykawki, igły, proszki od bólu głowy i zębów, opatrunki. Podczas tej krzątaniny usłyszała dzwonek telefonu, stojącego na metalowej szafce.

— Tu portiernia hotelu robotniczego — usłyszała niski, nieco zachrypnięty głos. — Czy mówię z dyżurną siostrą?

— Tak, słucham.

— Zaraz przyprowadzę pani pacjenta. Ma skaleczoną rękę.

Po kilku minutach istotnie portierka pojawiła się, prowadząc pod rękę robotnika trzymającego wysoko uniesioną, owiniętą chustką dłoń. Halina zdezynfekowała ranę i założyła prawidłowy opatrunek, co nie zajęło razem więcej, niż kwadrans czasu. Potem nie było co robić przez kilka godzin i dziewczyna czytała powieść „Niewolnica miłości", siedząc w dość wygodnym, pokrytym pluszem foteliku. Ale około trzeciej nad ranem ponownie zadzwonił telefon i portierka zaanonsowała nowego pacjenta. Tym razem chodziło o silny ból zęba. Dała mu najsilniejszy proszek i kazała następnego dnia zgłosić się do dentysty. Kiedy portierka z cierpiącym wyszła za próg ambulatorium, była już godzina 3.30 nad ranem. Do końca dyżuru pozostało kilka godzin, w ciągu których na ogół pacjenci już nie bywali. Halina zdjęła sukienkę. Została w samej bieliźnie pod białym kitlem. Po dłuższym czasie w progu gabinetu zabiegowego, oświetlony blaskiem 60 świecowej żarówki stanął ubrany w płaszcz mężczyzna.

— Kto... kim pan jest? — zapytała Halina wstając z fotelika.

— Przepraszam bardzo — powiedział przybysz — mam bóle żołądka, już nie mogę wytrzymać. Pani jest pielęgniarką?

— Jestem, oczywiście. Którędy pan tu wszedł, przecież drzwi są zamknięte?

Przybyły jęknął chwytając się za brzuch. — Już nie wytrzymam! Może mi dać pani lekarstwo?

— A jaki to rodzaj bólu?

— Jakby kto nożem kroił... Zjadłem coś, może rybę... Nie, chyba kaszankę...

— Dziewczyna otworzyła szafkę z półką zastawioną flaszeczkami. Nie zwlekając, odkręciła buteleczkę ze środkiem uśmierzającym i napełniwszy pipetkę, odmierzyła przepisową ilość kropel do kieliszka z grubego, zielonkawo połyskującego szkła. Następnie odkręciła kapsel z butelki zawierającej wodę destylowaną. Podała kieliszek mężczyźnie, ten wypił duszkiem.

— Jak pan tu wszedł? — zapytała ponownie. — Przecież drzwi...

— Wszedłem przez okno — pospieszył z wyjaśnieniem nieznajomy, któremu widocznie lekarstwo pomogło, bo wzrok miał żywy a głos dźwięczny. — Było uchylone na parterze.

— To nieładnie wchodzić przez okno, jak jaki złodziej...

— E, proszę pani, nieładnie... Ja tu byłem nieraz.

— Z bólem brzucha?

— Nie, ja przychodziłem do Kryśki. Znam ją dobrze i myślałem, że ona dzisiaj tu będzie. — Popatrzył na Halinę tak, że odruchowo poprawiła kitel rozchylony na piersiach, zasłaniając skrawek różowego biustonosza.

Nagle poczuła ogarniające ją ramię. Chciała wyszarpnąć się z uścisku pacjenta... Jednak chwyt na szyi był silny, dławiący.

Poranny alarm

O godzinie 5.45 11 marca, portierka hotelu robotniczego „Linodrutu" przyszła do ambulatorium, otwarła drzwi własnymi kluczami, po czym wspięła się po schodach. Panowała absolutna cisza, ciągle jeszcze płonęły mdłe światła 60 świecówek. Drzwi gabinetu zabiegowego były uchylone, co ją zdziwiło. Weszła do wnętrza, przekonana, że nowo poznana pielęgniarka podsypia w foteliku. Ale kiedy przekroczyła próg zabiegowego, nie zdobyła się w pierwszej chwili na nic poza nieludzkim krzykiem. To, co ujrzała w głębi izby, obok fotela — było więcej niż straszne.

Upłynęło kilka minut, zanim zbiegła na parter i wyważywszy ramieniem drzwi służbówki, dopadła miejskiego telefonu. Rozdygotanymi palcami wykręciła numer.

Była punkt 6.00, kiedy dyżurny Komendy Miejskiej MO w Sosnowcu odebrał alarmujący telefon. Niewiele zrozumiał z przerywanego czkawką meldunku, składanego przez kobiecy głos nabrzmiały histerią, ale zrozumiał tyle, aby postawić na nogi komendę. Ani przez chwilę nie przyszło mu na myśl, że niewczesny żartowniś próbuje nabrać milicję, co się przecież niekiedy zdarzało, a więc należałoby poprosić rozmówcę o numer i wykonać sprawdzający telefon.

Dyżurny spytał tylko o adres „Linodrutu" i usłyszał: — Ulica Niwecka...

Telefony Komendy Miejskiej poszły w ruch zanim jeszcze dwa radiowozy włączyły sygnały i migając niebieskimi światłami pognały przez puste ulice miasta na Niwecką.

W kwadrans później meldunek telefoniczny z Komendy Wojewódzkiej w Katowicach powiadomił oficera dyżurnego Biura Kryminalnego Komendy Głównej w Warszawie o tym, co zastała portierka hotelu robotniczego „Linodrutu" w zabiegowym gabinecie fabrycznego ambulatorium. A w pół godziny później do szarego mercedesa podjeżdżającego pod bloki jednego z osiedli mokotowskich, wsiadł ubrany po cywilnemu mężczyzna, nieogolony, z walizeczką w dłoni i z papierosem w ustach.

Kapitan Andrzej Cieślik, inspektor Biura Kryminalnego KG MO wiedział, że koledzy z Sosnowca i Katowic zrobią już co należy, jednakże z rozpoczęciem niektórych działań wstrzymają się do chwili przybycia eksperta. On był ekspertem i nie odczuwał w tym momencie zadowolenia z nagromadzonej wiedzy. Ten swoisty bagaż można było określać jako cenny, ale również jako przysparzający ambarasu i odpowiedzialności.

— Gaz do dechy — powiedział kapitan do kierowcy. — W razie czego sygnał. I nie schodzimy poniżej stu pięćdziesięciu.

Ślady mordu

„Jest wtorek 11 marca, godzina 8.30, pogoda słoneczna, widoczność dobra, temperatura +10°C..." — brzmią pierwsze słowa protokołu „Oględzin miejsca zabójstwa", napisanego przez porucznika

Zarębę z Komendy Wojewódzkiej MO w Katowicach.

Ekspert Biura Kryminalnego przybył na miejsce kilka minut przed godziną dziesiątą i zastał ekipę dochodzeniową w pełnym komplecie. Błysk milicyjnych fleszów rozjaśniał co chwilę wnętrza pomieszczeń ambulatorium. W gabinecie zabiegowym leżała na wznak młoda kobieta z rozchylonymi nogami, bieliznę spodnią i pończochy wraz z pasem obciągnięte miała poniżej kolan, biały, pielęgniarski fartuch rozpięty szeroko, poplamiony był krwią. Głowa kobiety, umieszczona pod fotelikiem, przedstawiała teraz ciemno-czerwoną bryłę, zmiażdżoną tępym narzędziem.

W pokoju, obok umundurowanych i cywilnych funkcjonariuszy wykonujących rutynowe czynności, stał przy otwartym oknie starszy mężczyzna w okularach naciśniętych głęboko na nos. Inspektor Andrzej Cieślik rozpoznał cywila i podszedł natychmiast do okna.

— Panie profesorze — zapytał bez wstępów — czy to gwałt?

Nazwany profesorem westchnął. I on był nieogolony, szklanka mocnej kawy stanowiła do tej pory całe jego śniadanie.

— Gwałt? Nie przypuszczam, kapitanie. O ile można to określić bez badań specjalistycznych to nie gwałt. Przynajmniej nie w rozumieniu potocznym. Ale...

— Kim jest ta dziewczyna?

— Pielęgniarką tutejszego ZOZ. Wygląda to na morderstwo.

Ekspert skinął głową i zbliżył się do ciała.

— Temperatura zwłok 32 stopnie — dyktował technik dochodzeniowy swojemu koledze, stojące-

mu przy biureczku. — Stężenie pośmiertne silnie wykształcone we wszystkich mięśniach...

Inspektor uklęknął przy martwym ciele kobiety i obejrzał dokładnie ślady szarego nalotu, pokrywającego brzuch. Skinął na technika. Ten przerwał dyktowanie przy słowach. „... w otworach nosowych i jamie ustnej zakrzepnięta krew..."

— Tutaj — powiedział ekspert. — Widzicie, kolego? — Już to opisane: „ślad przyschniętej wydzieliny śluzowatej w części środkowej brzucha, poniżej pępka".

— Zeskrobać i do probówki.

— Oczywiście, kapitanie.

Kapitan Andrzej Cieślik obejrzał jeszcze zegarek, przypięty do przegubu dłoni. Koperta była koloru żółtego, chyba złota. Złota była też obrączka na podkurczonym palcu lewej dłoni ofiary. Na obrączce wygrawerowano inicjały i datę, zapewne ślubu: „8. I. 1972". Na innym palcu widniał pierścionek, z żółtego metalu ozdobiony pomarańczowym oczkiem. „Też złoto" — pomyślał inspektor. Zasępiony, przyjrzał się zakrwawionym cegłom spoczywającym u wezgłowia ofiary: jedna cegła była skruszona, jej odłamki znajdowały się na podłodze. Czerwone ślady rozprysków krwi na ścianie sięgały wysokości dwóch metrów...

Ekspert, ciągle na klęczkach, zaczął przeglądać zawartość metalowego kosza na odpadki. Pośród odpiłowanych ampułek po zastrzykach i zwitkach pokrwawionej waty, dojrzał kieliszek lekarski z zielonkawego szkła. Uniósł go do nosa, uczuł słabą woń jakby waleriany. Technik Komendy Wojewódzkiej monotonnym głosem dyktował koledze:

— ... zegarek naręczny wskazuje prawidłową godzinę...

— Panie profesorze — ekspert ponownie zwrócił się do cywila pod oknem — jeżeli to nie był gwałt, to...

— Właśnie — niechętnie powiedział uczony. — To może być...

Myśleli o tym samym: jeżeli nie dokonano na zmarłej kobiecie gwałtu, należało przyjąć jedną z kilku nasuwających się wersji. Pierwsza, najbardziej prawdopodobna, zakładałaby, że natknęli się na morderstwo z lubieżności, dzieło sadysty — maniaka, osiągającego zaspokojenie seksualne przez zabójstwo ofiary. Wiadomo było z praktyki zarówno eksperta KG MO jak i profesora medycyny sądowej z Zabrza, że tego typu zbrodniarze nie poprzestają na jednej ofierze, że wykryty dziś rano mord może stanowić początek lub ogniwo rozpoczętej już serii.

— Ten ślad na brzuchu, który zabezpieczyliśmy — mówił oficer — to zapewne męskie nasienie?

— Tak się wydaje — przyświadczył profesor. — Za kilka godzin otrzymamy wyniki z laboratorium. Ale to niczego właściwie nie zmienia...

Ekspert milicji przytaknął. Potem, wraz z szefem grupy operacyjno-dochodzeniowej z Katowic, udali się do pomieszczeń biurowych fabryki „Linodrut", aby w odosobnieniu podyskutować nad dalszym przebiegiem śledztwa. Na asfaltowym placyku przed budynkiem ambulatorium stało kilka samochodów, kręcili się umundurowani funkcjonariusze odganiający ciekawskich, od przystanku autobusowego zdążali na drugą zmianę robotnicy „Linodrutu". Była prawie godzina czternasta, czas płynął z zatrważającą szybkością ale tylko dla tych, którzy prowadzili pościg.

— Pies nigdzie nas nie doprowadził — mruknął kapitan, starszy inspektor Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego KW MO z Katowic.

— Pies nie miał pola do popisu — zauważył inspektor Biura Kryminalnego. — Szedł po śladzie, jaki był mu najbardziej wygodny: do hotelu robotniczego. Nie zapominajmy, że najczęstszym gościem ambulatorium była tej nocy portierka.

— Ona nie zabiła — powiedział porucznik Ryszard Curyś kierownik sekcji zabójstw. — Według tego co wiemy, zabójcą był mężczyzna.

— Tak, to niewątpliwe. Jeżeli w tej pracy jest w ogóle coś wątpliwego. Można sobie, na upartego, ułożyć legendę całkiem odmienną.

— Musimy przyjąć legendę najbardziej logiczną, a zarazem wysoce dla nas niemiłą: mamy do czynienia z tym, co niemieccy kryminolodzy nazywają „Lustmord", morderstwo z lubieżności.

— Czyli — podsumował kapitan z Katowic — waszym zdaniem, s e r i a?

— Nie wolno wykluczać tego, co najgroźniejsze. Zabójstwo zostało popełnione na tle seksualnym (duszenie i ułożenie zwłok, ślady nasienia, mechanizm śmierci, brak rabunku i śladów penetracji pomieszczenia). Ofiarą zabójstwa padła najprawdopodobniej osoba przypadkowa, gdyż o dyżurze Haliny Kozery wiedziało bardzo wąskie grono osób — powiedział ekspert.

— I jeszcze jedno — dodał kapitan z Katowic, Bogusław Kowalski — należy z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, że zabójca korzystał uprzednio z usług ambulatorium i znał tryb przyjmowania pacjentów. Znał też rozkład budynków i pomieszczenia.

— Może jest pracownikiem „Linodrutu", albo nim był w przeszłości. Być może jest także mieszkańcem hotelu robotniczego...

— Tak czy inaczej — rzekł kapitan Andrzej Cieślik — musimy mieć od zaraz pełny wykaz miejscowych zboczeńców seksualnych. Musimy zbadać ich alibi w nocy z poniedziałku na wtorek. Sprawcą może być osobnik nie związany z fabryką, notowany już za przestępstwa seksualne, zamieszkały w pobliżu. Taki ktoś mógł zaobserwować sposób pełnienia dyżurów przez pielęgniarki. Byłaby to dla niego wymarzona wprost okazja. Odludzie, brak możliwości wszczęcia skutecznego alarmu... Przejmujecie ten wycinek kolego? — zapytał ekspert szefa „od zabójstw" z Katowic.

— Tak.

— Ilu ludzi macie do dyspozycji?

— Ilu będzie trzeba. W tym czternastu doświadczonych inspektorów pionu kryminalnego ze wszystkich jednostek podległych Komendzie Wojewódzkiej.

Eliminacje

W pierwszym dniu poszukiwań mordercy zrewidowano szafki wszystkich pracowników „Linodrutu" oraz przeprowadzono szczegółowe przesłuchania i „rozpytania" mężczyzn zatrudnionych na zmianie nocnej. Spośród 70 osób wytypowano 17, których alibi budziło wątpliwości. Sprawdzono także obuwie wszystkich pracowników i szereg butów skierowano do badań porównawczych. Zrobiono tak dlatego, że w gabinecie zabiegowym znaleziono ślad męskiego obuwia o charakterystycznym odcisku. Przypuszczano, że ślad ten pozostawił zbrodniarz.

Czynności te zostały wykonane przez 11 funkcjonariuszy pod kierownictwem inspektora Wydziału Kryminalnego KW MO.

W hotelu robotniczym zamieszkiwało 46 mężczyzn. Ich obecność w pokojach w godzinach nocnych nie ulegała wątpliwości. Szczególnie w godzinach między 3.30 a 5 rano, to jest w przypuszczalnym czasie popełnienia zabójstwa. Dokonano przeszukań pomieszczeń i sprawdzono również obuwie. Wobec trzech mężczyzn, którzy wydali się podejrzani oraz wobec 8 mieszkańców hotelu, którzy nie przebywali tej nocy w hotelu, podjęto szczegółowe sprawdzenia „w ramach wersji osobowych". Kierował tą akcją inspektor, któremu przydzielono 10 funkcjonariuszy różnych służb

Ponieważ od trzech lat budynek ambulatorium znajdował się w trakcie remontu, milicja zajęła się także 32 pracownikami budowlanymi czterech różnych firm państwowych i jednej prywatnej. Wyeliminowano, przy pomocy ustalenia alibi, 20 osób.

W pewnej chwili prowadzącym śledztwo zdawało się, że uchwycili nić, wiodącą bezpośrednio do sprawcy. Otóż w gabinecie zabiegowym znaleziono wyraźny odcisk dłoni mężczyzny na drzwiach pokoju, przez okno którego najprawdopodobniej wszedł sprawca. Bez trudności zidentyfikowano mężczyznę, który ten odcisk pozostawił. Okazał się nim pracownik grupy remontowej — niejaki Piotr S., stolarz. Jego alibi zostało sprawdzone szczególnie dokładnie i surowo, jednakże okazało się ono tak solidne, że stolarza eliminowano z kręgu podejrzanych. „Stolarz miał okazję zostawić odciski w dowolnym niemal miejscu pokoju, w którym popełniono zbrodnię" — wyjaśnił kierownik trzeciej grupy funkcjonariuszy, badających grupę remontową.

Tymczasem Komenda Wojewódzka objęła tzw. działaniami sprawdzającymi 218 zboczeńców seksualnych z województwa katowickiego. 39 osób wyeliminowano z kręgu podejrzanych natychmiast, 16 osób przeznaczono do bardziej szczegółowego sprawdzenia. Czterech, delegowanych z innych jednostek funkcjonariuszy MO pracowało pod kierownictwem zastępcy Komendanta Miejskiego w Sosnowcu, odpowiadając za spływ informacji i rzetelność „sprawdzeń" wykonanych przez cztery komisariaty MO znajdujące się na terenie Sosnowca.

Skład „Grupy wersji osobowych", pracującej pod kierownictwem szefa sekcji Zakładu Kryminalnego KW MO wynosił (zależnie od natężenia prac) od 6 do 20 funkcjonariuszy. Zajmowali się oni sprawdzaniem szczególnie podejrzanych osób typowanych przez pozostałe grupy milicyjne oraz mężczyznami mającymi bezpośredni kontakt z ofiarą lub środowiskiem pielęgniarek. Ponadto wyodrębniono zespół milicjantów, którzy prowadzili rozpoznanie w rejonie ulic przyległych do miejsca zbrodni. Prowadząc obserwację mieszkańców, zwracając uwagę na wszelkie zachowania odbiegające od normy, funkcjonariusze zbierali nawet drobne, nie znaczące pozornie informacje.

Cały tydzień trwała owa skrupulatna, zakrojona na ogromną skalę akcja milicji, kierowana przez najlepszych fachowców województwa i eksperta przybyłego z Warszawy. Sieć była szczelna, nie mógł z niej wydostać się nie tylko sprawca morderstwa, ale nawet człowiek uwikłany w zgoła inne przestępstwo, jak np. dokonane krytycznej nocy włamanie lub pobicie... A jednak, mimo zaangażowania tak znacznych sił MO i mimo pomocy ze strony społeczeństwa, zgodnie współpracującego z organami ścigania, społeczeństwa wzburzonego

potwornością zbrodni popełnionej na 25-letniej pielęgniarce, matce dwuletniego dziecka — mimo sprawnej, zapiętej, zdawałoby się, na „ostatni guzik" akcji — w ciągu tygodnia sprawca nie został ujęty.

Wątpliwości naukowców

Ekspert KG MO, inspektor Andrzej Cieślik truchlał wobec zarysowującej się perspektywy: sprawca mógł być osobnikiem zamieszkującym zupełnie inny region kraju, nie związany żadnymi kontaktami z ofiarą ani jej środowiskiem. Mógł być przypadkiem, podobnie jak jego ofiara była przypadkowa. „Gdyby na dyżur poszła którakolwiek inna pielęgniarka, zamiast Haliny — myślał kapitan — spotkałby ją identyczny los. Krysia miała po prostu szczęście, jak w toto lotku. Wygrała w tym splocie okoliczności życie".

Nawykły do ścisłego, logicznego rozumowania umysł eksperta, wzdragał się przed objęciem podejrzeniami kilkunastu milionów mężczyzn, zamieszkujących Polskę. Wszelkie „wyjście poza Katowice" groziło rozszerzeniem śledztwa do granic absurdu. Zresztą, jeżeli posunąć się w absurdzie dalej, można by objąć podejrzeniami nie tylko mężczyzn, ale także kobiety. Śmiertelne ciosy cegłą (obdukcja biegłych wykazała, że przyczyną zgonu denatki były obrażenia czaszki, zadane zniesionymi do gabinetu zabiegowego cegłami zalegającymi zakamarki remontowanego budynku) mogła zadać również kobieta.

Jednakże — dociekał ekspert — jest wykluczone, aby kobieta mogła zostawić ślad w postaci plamy spermy. Ten ślad, najbardziej ewidentny zwiastun życia, był w tym wypadku śladem śmierci. I to sta-

nowiło jedyny punkt zaczepienia śledztwa, obracającego się w martwym punkcie rutyny, niezbędnej dla każdego przypadku kryminalnego. Trzeba teraz było wyjść poza rutynę i tu zaczynała się główna rola eksperta.

W krytycznym dla śledztwa momencie, 18 marca, nadeszła z Zakładu Medycyny Sądowej wiadomość elektryzująca: „Pobrana z powłok brzusznych denatki sperma pochodzi od mężczyzny zaliczanego do tzw. niewydzielaczy (Se)". Ekspert natychmiast pojął ogromną szansę, mogącą służyć eliminacji podejrzanych: otóż w wydzielinach większości ludzi, np. w ślinie lub spermie, dają się wyróżnić łatwo grupy krwi „wydzielacza". Mówiąc ściśle — 82 procent ludzi posiada w ślinie składniki, pozwalające określić ich grupę krwi, a tylko 18 procent takich składników w ślinie i innych wydzielinach nie posiada. Jeżeliby nawet założyć najgorszą dla śledztwa możliwość, że powinno ono objąć kilkanaście milionów mężczyzn w Polsce, to natychmiast eliminowało się 82 procent podejrzanych.

Była to szansa wielkich liczb. Ogromna, lecz mimo wszystko, po analizie logicznej, dla śledztwa nadal mikroskopijna. Jeżeli nawet wykluczało się automatycznie kilkanaście milionów objętych „podejrzeniem", to zostawało ciągle setki tysięcy osób, co do których ewentualna eliminacja nie miała zastosowania. Na domiar komplikacji, niemal równocześnie nadeszła wiadomość z innego zakładu naukowego, że „badania wykazały, iż sperma należy do wydzielacza grupy „A". (Denatka miała grupę krwi „A"). Oficerowie milicji prowadzili właśnie na ten temat dyskusję w lokalu KW MO, kiedy nadeszła kolejna, telefoniczna wiadomość z instytutu. Oficer, odkładający słuchawkę, zacisnął zęby w niemej wściekłości.

— Co znowu? — zapytał kapitan Andrzej Cieślik. — Może coś istotnego?

— Do jasnej cholery z tymi naukowymi metodami! — nie wytrzymał milicjant przy telefonie. — Wiecie, co mówią? Mówią, że przepraszają serdecznie za pomyłkę, ale właśnie doktor P. powiadamia, że interesująca nas wydzielina pochodzi od osobnika o grupie „0". Zero!

— „A" czy „0" to dla nas nie ma różnicy... — powiedział ktoś po minucie zaległego milczenia.

— Badania były prowadzone równolegle przez różne grupy naukowców...

— Tak. — Ekspert ożywił się. — Jeżeli naukowcy mają wątpliwości, a my ich mieć nie możemy, pogódźmy ich. Niech sprawę rozstrzygnie Kraków. Kraków ma bardzo dobry ośrodek Medycyny Sądowej.

Model hipotetyczny

Podczas kolejnej nocy bezowocnego śledztwa, kapitan Andrzej Cieślik kręcił się na swoim posłaniu w niezbyt luksusowo urządzonym pokoju hotelowym. Przeprowadzał w ciszy, zakłócanej warkotem przejeżdżających ulicą pojazdów, kalkulacje, oparte na swej wieloletniej praktyce ścigania sprawców przestępstw seksualnych. Na przykład, z doświadczenia wynikało, że najczęściej sprawcą zabójstwa o podłożu seksualnym, bywał mężczyzna w wieku lat 21—22. Nigdy nie zanotowano sprawcy, który by przekroczył sześćdziesiątkę. Wynikało to z predyspozycji fizycznych samca, gatunku ludzkiego... I dalej: kawalerów było, wśród sprawców tego rodzaju zbrodni, ponad 60 procent, żyjących w separacji zaledwie 1 procent. Poziom wykształcenia nie

przekraczał, z reguły, zawodowego, najczęściej, bo w 66 procentach chodziło o ludzi z wykształceniem podstawowym, średnie wykształcenie ograniczało się do zaledwie 2 procent zabójców. Tak więc można było ustalić hipotetyczny, wzorcowy model sprawcy zabójstwa Haliny. Jednakże pielęgniarki nie zabił model hipotetyczny, ale realny i to bardzo realny człowiek. Nikt nie miał prawa zakładać, że tym razem, akurat, statystyka nie spłatała złośliwego figla i sprawcą okazać się może osobnik 58-letni, z wyższym wykształceniem, żyjący w długoletniej separacji z żoną. Czy jednak chodziło w tej sprawie rzeczywiście i „Lustmord", czy też rzecz miała się inaczej? Wszelkie spekulacje na ten temat sprawiały kapitanowi szczególną mordęgę: ofiara została najpierw uduszona (zadławiona), a dopiero później zmiażdżono jej czaszkę specjalnie przyniesionymi z innego pomieszczenia cegłami. Dlaczego tak się stało? Dlaczego sprawca siłą rozebrał kobietę, ale nie odbył z nią stosunku? Czy wystarczyło mu dla osiągnięcia orgazmu pastwienie się nad ofiarą? A może w ogóle wyglądało to zupełnie inaczej, może...

Jeżeli cokolwiek było logicznego w tej paskudnej, smutnej i nie dającej się rozwikłać sprawie, to tylko jedno: zamiast Krysi — pielęgniarki, która nie przyszła na dyżur — zginęła Halina. A czy Krysia też musiałaby zginąć? I tu zadziałała intuicja, rzadki dar najlepszych oficerów śledczych wszystkich milicji i policji świata, przypisany przez laików genialnej osobowości detektywów, a będący wynikiem znajomości fachu... — Otóż — myślał oficer — przyjęliśmy, że każda kobieta, która znalazłaby się tej nocy w pokoju zabiegowym ambulatorium „Linodrutu", musiała ponieść śmierć z ręki gwałciciela czy zboczeńca (o ile nie byłaby np.

wiekową staruszką, albo osobą o wręcz odrażającej powierzchowności). Czy rzeczywiście każda? Każda, która by się broniła! Broniła przed czym? Przed gwałtem, naturalnie. Halina broniła się przed czymś konkretnym. Sprawca nie miał przy sobie noża dla przebicia ofiary, nie miał zapewne przygotowanej pętli z kabla, nie miał też młotka czy podobnego narzędzia. Wniosek jest taki, że prawdopodobnie nie zamierzał pozbawić ofiary życia, może nie oczekiwał oporu?

Myśli kłębiły się w głowie kapitana Cieślika, z trudem zasnął, postanawiając nazajutrz dokładnie przesłuchać panią Krysię, 28-letnią mężatkę, pielęgniarkę, którą zastąpiła Halina.

Kobiety i mężczyźni

Funkcjonariusz MO, któremu przypadła rola powiernika serca pani Krysi nie miał łatwego zadania. Pierwsze słowa kobiety, gdy poruszony został drażliwy problem, brzmiały:

— Ależ, co pan sobie wyobraża, jestem mężatką!

— To wiem — odparł spokojnie milicjant — niemniej, znając trochę życie...

— Pan posuwa się za daleko!

— Pytam panią po prostu, czy znała pani bliżej jakichś mężczyzn w ostatnim czasie, albo, powiedzmy, dużo wcześniej. To pani nie ujmuje godności.

— Znałam wielu mężczyzn, ale to nie powód...

— Dobrze — zgodził się potulnie funkcjonariusz — zapytam wobec tego inaczej: czy któryś z pani znajomych mężczyzn odwiedzał panią kiedykolwiek w ambulatorium „Linodrutu"? Prywatnie, nie jako pacjent.

— Nigdy! — odparła godnie kobieta, co do której można było mieć podejrzenie, według wcześniej przeprowadzonego acz dyskretnego wywiadu, że nie powinna przeczyć tak stanowczo.

— Ach, może macie na myśli pana Juliana... — przypomniała sobie nagle.

— Nikogo nie mam na myśli, tylko próbuję się czegoś dowiedzieć — cierpliwie mówił milicjant.

— Więc owszem, pan Julian odwiedził mnie kilka razy w ambulatorium, przyjaźniliśmy się.

— Kto to jest pan Julian?

— Taki młody człowiek, elektryk. Bardzo sympatyczny.

— Jego nazwisko?

— Czaban.

— Pani utrzymywała z nim intymne stosunki?

— ...

— Proszę zrozumieć — zdenerwował się wreszcie milicjant — że mnie nie interesuje czy pani sypia z kimś poza mężem. Pani przecież zdaje sobie sprawę z faktu, że pani koleżankę zamordowano w bestialski sposób i że pani sama mogła paść ofiarą zamiast Halinki?

— Tak, rozumiem.

— Więc pan Julian Czaban bywał podczas pani dyżurów w ambulatorium?

— Tak — odpowiedziała, siląc się na spokój, Krysia.

Natychmiast niemal po tej rozmowie kierownik „grupy wersji osobowych” w porozumieniu z kapitanem Andrzejem Cieślikiem, wysłał funkcjonariuszy dla sprawdzenia Juliana Czabana, 23-letniego elektryka, zatrudnionego w elektrycznej podstacji Katowice-Załęże. Zamieszkiwał on w Klimontowie z drugą kolejną żoną, z którą miał dziecko. Z po-

przednią żoną rozwiódł się, pozostawiając dziecko, na które zresztą płacił alimenty.

— Gdzie pan był w nocy z dnia 10 na 11 marca? — brzmiało pierwsze pytanie oficera dochodzeniowego KW MO. Rozmawiali w zakładzie pracy Juliana.

— Tu byłem — odpowiedział młody człowiek spokojnie. — Byłem tu na dyżurze, razem z kolegą. Wyszedłem o szóstej rano. Można sprawdzić w karcie zegarowej.

— I nigdzie pan nie wychodził?

— Nie.

— A pański kolega potwierdzi to zeznanie?

— Czemu miałby nie potwierdzić? — Julian Czaban sprawiał wrażenie całkowicie pewnego siebie.

— Czy pan zna Krystynę? — zapytał oficer, wiedząc, że jednocześnie jego kolega rozmawia w tej chwili z kolegą zmianowym Juliana i sprawdza wiarygodność podanego alibi.

— Krystynę... No, znam wiele kobiet...

— Pielęgniarka z Sosnowca.

— A tak, znam.

— Utrzymywał pan z nią intymne stosunki?

— Pan pyta żonatego człowieka — obruszył się Julian.

— Dwukrotnie żonatego — odwdzięczył się milicjant. — Podtrzymuję pytanie.

— Znam Krystynę dobrze.

— Dobrze. Kiedy i ile razy odwiedzał pan Krystynę w ambulatorium „Linodrutu", gdy ona pełniła tam dyżury?

— Nigdy nie byłem w ambulatorium żadnego „Linodrutu" — odparł rozzłoszczony Julian Czaban. — Nie wiem, o co panu chodzi.

— O nic. Dziękuję i do widzenia.

Milicjant wyszedł z pomieszczeń podstacji elek-

trycznej i poczekał w samochodzie na swojego kolegę, który rozmawiał z towarzyszem pracy Juliana. Kiedy wrócił, powiedział:

— Niepotrzebnie tu jeździliśmy. Ten gość, który pracował z Julianem, twardo obstaje przy tym, że obaj pracowali do szóstej rano i razem wyszli z podstacji. Ten gość budzi zaufanie. Rozmawiałem z nim przy dyrektorze.

Kiedy zaprotokołowane rozmowy z panią Krysią, Julianem Czabanem i jego kolegą dotarły do kapitana Andrzeja Cieślika, ten zwrócił uwagę, że alibi było więcej niż dobre — było niemal doskonałe. Poza wszystkim, z podstacji do sosnowieckiego ambulatorium droga wynosiła 18 km i niełatwo ją było pokonać w godzinach między 3 a 5 nad ranem. Chociaż, z drugiej strony, rejony uprzemysłowionego Śląska mają dobrą komunikację nocną...

— To bardzo ładne alibi — powiedział ekspert do kolegi z Komendy Wojewódzkiej — aż szkoda. Bo Julian Czaban znakomicie pasuje jako sprawca, jeżeli przyjrzeć się jego dotychczasowemu życiu. Popatrz: zaledwie 23 lata, a jakie bujne życie seksualne... Pierwsza żona, druga żona, cztery kochanki i to nie jakieś dzierlatki, ale poważne panie. Jest pani doktór, pani magister i pani inżynier... Chłopak ma dryg do tych rzeczy. Ale najważniejsze, że jego pierwsza żona rozwiodła się z Julianem nie tylko z powodu tych bab, miała też inne powody.

— Jakie? — zainteresował się porucznik.

— W 1972 roku Julian był karany za znęcanie się fizyczne i moralne nad starszą od siebie o osiem lat żoną Elżbietą. I został skazany na osiem miesięcy więzienia z zawieszeniem na dwa lata.

— Pijak?

— Nie, właśnie że nie. Alkohol pija w niewielkich ilościach, dość rzadko. I jeszcze jedno: w 1966

roku Komenda Powiatowa MO Będzin prowadziła przeciwko naszemu Julianowi dochodzenie w sprawie o gwałt, dokonany na Adeli W. Sprawa została umorzona, ponieważ pokrzywdzona zeznała, że już wcześniej dobrowolnie oddawała się Julianowi.

— Nasze prawo jest trochę dziwne — westchnął porucznik z Katowic. — Co to ma do rzeczy, że wcześniej chciała, jeżeli później nie chciała? Przecież wiadomo, że istnieje możliwość wniesienia oskarżenia o gwałt, dokonany na... prostytutce!

— Teoria teorią. Można też być osądzonym o gwałt na własnej żonie — mruknął ekspert — ale ja nie znam podobnych przypadków. Ten Julian mi pasuje, ale wobec takiego alibi... szukamy dalej.

A jednak błąd

W następnym tygodniu nadeszła odpowiedź z Krakowskiego Instytutu Medycyny Sądowej. Naukowcy krakowscy, zapoznawszy się z badaniami kolegów z innych rejonów kraju, orzekli autorytatywnie, że badana sperma należy do tzw. niewydzielacza, którego grupy krwi na podstawie wydzielin ustalić nie sposób.

— „Pierwsza myśl, dobra myśl" — ucieszył się ekspert. Mamy kapitalne zawężenie grona podejrzanych, eliminujemy z miejsca 82—83 procent. Teraz wystarczy pobrać u osobnika ślinę, a jeśli okaże się, że należy do niewydzielacza, mamy go z głowy.

Ponownie nastąpiło przyspieszenie działań operacyjnych milicji, która w ciągu kilkunastu dni zbadała (sprawdziła) 1.600 mężczyzn, znajdujących się w szerokim kręgu podejrzeń. Z tej liczby 1.500 eliminowano jako wydzielaczy (oraz z innych przyczyn, jak np. wiarygodne alibi). Pozostało 100 męż-

czyzn-niewydzielaczy. W odniesieniu do tej kategorii ustalono szczególny sposób eliminacji: pracownik prowadzący określoną wersję, po wyczerpaniu możliwości opracowywał pisemny wniosek o eliminację, który przedkładał kierownikowi grupy. Z kolei wniosek akceptowany przez kierownika, był poddawany weryfikacji przez nadzorującego sprawę inspektora Biura Kryminalnego KG MO, kapitana Andrzeja Cieślika.

Ostatecznie z pozostałej setki skreślono 83 osoby. 17 mężczyzn pozostało w kręgu podejrzeń, ale na udowodnienie któremuś z nich morderstwa Haliny, nie było chwilowo sposobu.

Śledztwo, prowadzone z rozmachem, przy zaangażowaniu kilkudziesięciu wysokokwalifikowanych funkcjonariuszy na pierwszym etapie poniosło klęskę. Pierwszy etap często bywał w podobnych sprawach rozstrzygający i niepowodzenie aparatu ścigania, w tym wypadku, miało charakter dramatyczny. Wracający do Warszawy, już nie mercedesem, lecz pociągiem pospiesznym, kapitan Andrzej Cieślik poniósł porażkę i chociaż nie domyślał się jeszcze, w którym momencie i na jakim etapie popełniono błąd, miał absolutne przekonanie, że błąd został popełniony. Należało go wykryć. „Zabójca był w naszych rękach" — ta pewność oficera, który posiadł może największe w Polsce doświadczenie w ściganiu i wykrywaniu zabójstw o podłożu seksualnym, pozostała w nim do końca sprawy.

Komu wierzyć?

Mijały miesiące, podczas których kapitan Andrzej Cieślik miał do czynienia z kilkoma poważnymi przestępstwami i jeździł po Polsce, albo pracował

w Komendzie Głównej nad rozwikłaniem ponurych zagadek. Jednakże przez cały czas nie opuszczało go wspomnienie zbrodni popełnionej na młodej pielęgniarce z Sosnowca. Najgorsze, czego się obawiał — dalsze morderstwa seryjne — nie nastąpiło i kapitan przynajmniej za to był wdzięczny losowi. Wprawdzie nowe morderstwo z serii mogłoby niezwykle ułatwić odnalezienie sprawcy pierwszego, ale ekspert KG MO nie uważał, aby wykrycie sprawcy warte było nowej ofiary.

Nadszedł luty kolejnego roku. Zbliżała się rocznica tragicznej śmierci Haliny, kiedy powzięto w Komendzie Głównej postanowienie o weryfikacji akt niewykrytego sprawcy zabójstwa w „Linodrucie". Odbyła się narada oficerów, biorących udział w pierwszej fazie śledztwa i któryś z zebranych zauważył, że akta są jakby „niepełne". Zapytany, co ma na myśli, odparł, że od tysiąca sześciuset podejrzanych mężczyzn pobrano do analizy ślinę, aby eliminować niewydzielaczy.

— Julian Czaban był podejrzanym — powiedział przeglądając akta — a przecież jego śliny nie pobrano. Dlaczego?

Wkrótce wyjaśniono tę wątpliwość: w chwili, gdy przeprowadzono wywiad o Julianie, oraz kiedy go przesłuchiwano, nie istniała jeszcze pewność, że odkryty i starannie zabezpieczony ślad spermy należy do niewydzielacza. Jeszcze wtedy nie było autorytatywnej opinii Krakowa, potwierdzającej wstępne ustalenia Zakładu Medycyny Sądowej.

— To nie było konieczne — wyjaśnił inny oficer — przecież alibi Juliana jest nie do obalenia.

Kapitan Andrzej Cieślik wzmógł uwagę. Alibi nie do obalenia, „żelazne", „murowane" alibi przestało być tabu, odkąd obalono je po raz pierwszy, a działo się to przed wiekami. O takich alibi pisano nie

tylko powieści kryminalne, ale powstała na ten temat literatura naukowa, fachowa.

— Ja się jeszcze temu elektrykowi przyjrzę — powiedział Andrzej Cieślik. — Weźcie go na warsztat od strony kobiet, bliżej. Porozmawiajcie z jego kochankami, z obiema żonami, oczywiście, jeżeli nie skorzystają z prawa odmowy zeznań. Ta pierwsza może skorzystać, natomiast druga być może będzie miała ochotę mówić, nie ma lekkiego życia z małżonkiem.

— Ale w zakładzie pracy jest karta zegarowa — oponował oficer, który ustalał alibi Juliana — jest też niepodważalne zeznanie świadka, z którym Julian pełnił wspólny dyżur.

— To wszystko jest — zgodził się Andrzej Cieślik. Jednak zrobimy próbę. I przypomnijcie sobie panowie, jedną, zasadniczą kwestię: Krysia zeznała wyraźnie, że Julian odwiedzał ją w ambulatorium podczas jej dyżurów. Natomiast Julian stanowczo zaprzeczył, aby kiedykolwiek odwiedził ambulatorium! Komu wierzyć: kobiecie, która ryzykuje „dobre imię", czy mężczyźnie, którego przygoda z kobietą nie dyskwalifikuje moralnie?

— No, ostatecznie to żonaty człowiek...

— Ale nie dba o opinię pod tym względem. I dlaczego twierdzi, że nigdy nie był w ambulatorium?

„Żelazne" alibi

Upłynęły jeszcze trzy miesiące, zanim Juliana Czabana wezwano do Komendy Miasta w Sosnowcu, gdzie znajdowała się siedziba grupy operacyjno-śledczej. Bez żadnych komentarzy, w gronie innych, wezwanych w tym samym celu mężczyzn, pobrano Julianowi ślinę do badań.

W trzy dni później próbki wróciły z laboratorium. Kapitan Andrzej Cieślik z KG MO aż zamarł z wrażenia, kiedy przeczytał fragment maszynowego pisma, podpisanego przez specjalistę Zakładu Medycyny Sądowej: „Julian Czaban jest osobnikiem zaliczanym do niewydzielaczy".

— Teraz zabierzemy się do alibi Czabana — zaproponował na błyskawicznie zwołanej naradzie. — Trzeba tam wysłać bardzo czujnego funkcjonariusza. Może ty, Edek?

Porucznik Edward Nowak pojechał jeszcze tego samego dnia do Katowic i miał szczęście, gdyż w podstacji elektrycznej Katowice-Załęże zastał tego samego elektryka, który pełnił dyżur z Julianem krytycznej nocy ubiegłego roku.

— Panie Robercie — powiedział uroczyście oficer — pan zeznał przed rokiem, że przez całą noc z 10 na 11 marca pełnił dyżur wspólnie z Julianem. Czy to odpowiada prawdzie, czy pan przy tym stwierdzeniu obstaje?

— A o co właściwie panu chodzi — zdenerwował się nagle elektryk. — Raz powiedziałem i starczy, nie?

— Nie starczy — odparł milicjant kręcąc głową. — Czy moi koledzy mówili panu poprzednio, dlaczego sprawdzamy, co robił Julian tamtej nocy?

— Nic nie mówili. Może coś takiego, że milicja jest od tego, żeby pytać, a ja od tego, żeby odpowiadać. Ale więcej nic.

— To ja panu powiem: chodzi o zabójstwo kobiety, młodej kobiety, matki małej dziewczynki.

— Julian? — elektryk przybladł, albo tak wydawało się porucznikowi. — Tej nocy, Boże jedyny...

— Co się stało?

— Dlaczego nie powiedzieliście wcześniej, o co chodzi? Ja myślałem, że to taka kontrola, jak pra-

cujemy, czy który się nie urywa do domu... Ale jeżeli tak...

Oficer czekał, kiedy wreszcie padnie to słowo.

— No właśnie — usłyszał — tej nocy rzeczywiście Julian poszedł do domu wcześniej, może o czwartej lub wpół do czwartej...

— Pan teraz zeznaje do protokołu — szybko wtrącił funkcjonariusz. — Uprzedzam pana o odpowiedzialności za fałszywe zeznanie. Grozi panu kara więzienia do lat pięciu!

— Wtedy też tak mówili — z goryczą wyznał elektryk — i to jeszcze przy naszym dyrektorze!

— Jak to, przy dyrektorze?

— No tak. Wezwali mnie do dyrektora, a tam był tajniak, przepraszam, milicjant po cywilnemu. I pytał mnie o to wszystko przy szefie. Co miałem mu odpowiedzieć, że my z Julkiem idziemy sobie na rękę, że raz ja raz on urywamy się z roboty przed czasem, jeden drugiemu stempluje kartę zegarową i nikt nas nie sprawdzi, bo jesteśmy tu we dwóch? Miałem sypnąć kolegę i siebie w obecności dyrektora, nie mając nawet pojęcia, jakie to może mieć znaczenie i w jakiej poważnej sprawie?

— A teraz?

— Teraz mówię prawdę. Julian prosił mnie, żebym został, bo on musi coś załatwić czy gdzieś pojechać, już nie pamiętam...

— No dobrze, lecz przecież w książce dyżuru są wpisy, dokonane przez Juliana, dotyczące wykonywanych tu czynności służbowych. I ostatni wpis dokonany został o godzinie 5.45.

— Wpisy robimy często na zapas, zwłaszcza, jak się któryś z nas chce urwać...

Porucznik spisał treść protokołu i dał go do podpisu elektrykowi.

— Cały czas myślałem sobie — mówił potem porucznikowi Ryszardowi Curysiowi ekspert Andrzej Cieślik, że gdzieś został popełniony błąd. I okazuje się, Rysiu, już bez względu na to, czy Julian Czaban jest rzeczywiście sprawcą czy nie, że błąd popełniono w najbardziej nieoczekiwanym momencie, błąd taktyczno-operacyjny, błąd nie do zauważenia w aktach, błąd szkolny: jak można przesłuchiwać pracownika na takie okoliczności w obecności osób trzecich, a zwłaszcza... w obecności zwierzchnika służbowego?! To jest nauczka dla pokoleń milicji!

— Nie ma już murowanego alibi — powiedział z przekonaniem oficer z Katowic.

— Jeszcze nie wsiąkł — uspokoił kolegę Andrzej Cieślik. — Ja już mam prawie pewność, że to on zabił Halinę, ale moja pewność nie oznacza niczego dla prokuratury a tym bardziej dla sądu...

— Co robimy?

— Jadę do Warszawy zatwierdzać plan operacyjny, który tu, zaraz na miejscu, sporządzimy. Juliana Czabana trzeba wziąć pod ścisłą obserwację...

— Pilnujemy go już dobrze od paru dni...

— Pilnujcie jeszcze lepiej.

— A jak się zorientuje?

— Właśnie. Niech się zorientuje. Niech wie, że za nim chodzą, że jest pod kluczem. Niech traci nerwy. Nawet warto by specjalnie podsunąć mu takie podejrzenie... Wracam pojutrze albo w poniedziałek, działajcie! I postarajcie się zebrać więcej materiałów na temat jego życia erotycznego, wszystko, co się tylko da ustalić!

Kiedy w poniedziałek Andrzej Cieślik przyjechał znowu do Sosnowca, z zatwierdzonym przez zwierzchnika planem operacyjnym, miał do dyspozycji nowe, interesujące fakty z życia Juliana Czabana, obecnie już „figuranta w wersji osobowej w sprawie zabójstwa Haliny". Była żona Juliana Czabana, Elżbieta, zeznała na przykład, przesłuchana w trybie procesowym, że współżycie z mężem było trudne pod względem seksualnym, gdyż Julian przejawiał niepohamowany popęd, bywał przy tym brutalny. „W swoim postępowaniu pod tym względem był nieubłagany i wybrany cel, czy to byłam ja, czy inna kobieta, starał się osiągnąć za wszelką cenę" — zeznawała Elżbieta.

Inne kobiety Juliana Czabana, do których dotarła po żmudnych dociekaniach milicja, potwierdzały w ogólnych zarysach zeznania Elżbiety, stwierdzając nadmierną pobudliwość Juliana oraz jego brutalność i bezwzględność. Zeznawały o tak intymnych szczegółach wiedząc, że mogą przyczynić się do wykrycia sprawcy morderstwa i przeświadczone, że milicja dotrzyma sekretu.

W czerwcu wezwano Juliana Czabana do Komisariatu MO w Gołonogu wraz z dwoma innymi elektrykami i pod pretekstem prowadzonej „sprawy o kradzież silników", całą trójkę daktyloskopowano. Wynik ekspertyzy daktyloskopijnej był negatywny, gdyż materiał porównawczy, znaleziony na miejscu zbrodni był właściwie żaden (z wyjątkiem odcisku dłoni stolarza, o czym wspomniano tu uprzednio). Niemniej, Julian Czaban był w tym okresie czasu doskonale zorientowany, że wokół jego osoby „chodzą", że milicja odwiedza jego byłe kochanki, szuka czegoś w przeszłości, niemal bez osłonek. Jeżeli

był winien — twierdził kapitan Andrzej Cieślik — musiał mieć napięte nerwy i być bliskim załamania. Wtedy właśnie ustalono, że „figurant wersji osobowej" wybiera się w najbliższym czasie na urlop.

— Do tego nie można dopuścić — protestował Andrzej Cieślik — odpocznie, pofigluje na wczasach z jakąś dzierlatką i odzyska spokój. Trzeba mu napędzić dodatkowego stracha i... zrealizować.

— Jak mu chcesz napędzić dodatkowego stracha?

— Prostym sposobem. Zasugerujcie mu, że jego alibi zostało obalone. To powinien być niezły szok...

Tak też się stało. Podczas dyskusji-narady, funkcjonariusze MO prowadzący sprawę, postanowili nie czekać na powrót Juliana z wczasów, lecz mimo braku niezbitych dowodów winy, zatrzymać podejrzanego przed urlopem i dokonać na nim badania wariograficznego, przewidzianego w zatwierdzonym planie operacyjnym na dalszy etap śledztwa. Badanie wariograficzne polega na przesłuchaniu podejrzanego przy zastosowaniu „aparatu do wykrywania kłamstwa", zwanego w literaturze fachowej dawnych lat jako „lie-detector". Wyśmiana i pogardzana dawniej metoda nie służy bezpośrednio jako środek dowodowy, to znaczy nie służą opisane przez eksperta parametry. Natomiast jest to metoda stosowana legalnie, dostarczająca prowadzącym dochodzenie istotnej wiedzy o podejrzanym.

Przedstawiciel Biura Kryminalnego, Andrzej Cieślik, zarządził sprowadzenie do Sosnowca wariografu wraz z obsługującym urządzenie ekspertem. Zwrócono się jednocześnie do prokuratora o gotowość podjęcia pracy z podejrzanym i przedstawiono prokuraturze dotychczasowe ustalenia śledztwa.

Prokurator Jerzy Marczyński był gotowy w ciągu kilku godzin.

Andrzej Cieślik dał hasło do rozpoczęcia „realizacji", czyli zatrzymania podejrzanego. Gdyby w ciągu 48 godzin nie udało się zdobyć dowodów winy Juliana, mogących ostać się przed sądem, trzeba byłoby podejrzanego zwolnić. Jednakże oficerowie MO liczyli na osłabienie nerwowej odporności sprawcy. Dla nich Julian Czaban był, prawie na pewno, sprawcą a także — potencjalnym niebezpieczeństwem dla kobiet, z którymi utrzymywał kontakty. Sama myśl o ewentualnym urlopie Juliana, spędzanym pośród rozluźnionych psychicznie wczasowiczek, napawała inspektora Andrzeja Cieślika ponurymi przeczuciami: czegóż to może jeszcze dokonać głodny wilk wpuszczony do owczarni...

15 lipca Julian Czaban wyszedł z domu raniutko na przystanek PKS, skąd odchodzący o godzinie 5.45 autobus miał go zawieść do nowego miejsca pracy w Hucie Katowice. Zanim jednak nadjechał autobus, pojawiła się szara wołga, z której wysiedli dwaj znani Julianowi funkcjonariusze MO. Podeszli szybko, szczęknęły automatyczne kajdanki. Oszołomiony Julian widział przed sobą twarz człowieka, który nie tak dawno pobierał odeń odciski palców w związku ze sprawą „o kradzież silników".

— Już pora na pana, panie Czaban — powiedział drugi funkcjonariusz, ten, który ustalił przed rokiem „murowane alibi" Juliana.

— Co panowie chcecie, ja do pracy! — obruszył się aresztowany.

— Zobaczy pan później, panie Czaban — usłyszał w odpowiedzi, a potem, przez całą drogę do Komendy Wojewódzkiej w Katowicach milicjanci nie odzywali się, pozostawiając zatrzymanego własnym przeczuciom. W korytarzu Komendy, pod

strażą milicjantów, zdenerwowany Julian czekał aż do ósmej na wezwanie do pokoju przesłuchań, daremnie wypytując, dlaczego został zatrzymany. Kiedy wreszcie poproszono go do pokoju, gdzie oczekiwał oficer prowadzący śledztwo, usłyszał:

— Panie Czaban, zebraliśmy przeciw panu wystarczającą liczbę dowodów świadczących o tym, że pan zamordował Halinę. Jeżeli pan sobie życzy, możemy panu opowiedzieć pańskie życie a zwłaszcza możemy przedstawić panu pański stosunek do kobiet, pańską prawdziwą naturę.

— Jestem niewinny — oświadczył Julian — moje zapewnienia pana nie przekonują, ale nie może pan obalić mojego alibi. Tamtej nocy...

Oficer z trudem przywołał na twarz szyderczy uśmiech.

— O tym alibi jeszcze porozmawiamy — rzekł. — Chciał się pan dowiedzieć o przyczynie zatrzymania, więc już pan wie. Teraz nie będziemy dłużej rozmawiać. Za parę godzin uzyska pan okazję do bardzo szczerej rozmowy.

Na tym wstępne przesłuchanie zostało zakończone a Julian Czaban wylądował w celi aresztu komendy. Tymczasem na górze ukończono przygotowania do badań wariograficznych. Aby je przeprowadzić, należało uzyskać pisemną zgodę aresztowanego a wątpliwe było, aby Julian zechciał taką zgodę wyrazić. Wtedy inspektor Biura Kryminalnego KG MO, Andrzej Cieślik kazał wezwać podejrzanego do siebie.

— Panie Julianie — powiedział grzecznie, ale bardzo stanowczo. — Zatrzymaliśmy pana pod bardzo groźnym zarzutem zamordowania Haliny Kozery. Pańskie alibi — dodał szybko, widząc że delikwent przygotowuje się do wygłaszania repliki — zostało rozbite w proch. Nie istnieje. Według po-

siadanych przez nas danych, jest pan winien. Pan wie, co to oznacza. Pan wie, jak się zakończy proces sądowy w tej sprawie, jeżeli jest pan winny. Ale ja panu daję szansę: jeśli jest pan niewinny...

— Jestem niewinny! — krzyknął zdenerwowany Julian.

— Właśnie. Jeżeli pan jest niewinny, niech pan skorzysta z ofiarowanej szansy. Poddamy pana badaniu testowemu przy pomocy pewnego przyrządu, pozwalającego udokumentować prawdziwość pańskich wypowiedzi. To jest niepozorny przyrządzik, nie poczuje pan nawet ukłucia, nic pana nie zaboli. Jeżeli nasze udokumentowane podejrzenia są fałszywe i pan jest niewinny, aparatura to wykaże.

Test

— Oczywiście że skorzystam — pospieszył Julian Czaban.

— To bardzo rozsądne. Proszę wobec tego podpisać oświadczenie, że wyraża pan zgodę na poddanie się badaniu wariograficznemu. Nie zmuszamy pana do tego.

Podejrzany podpisał oświadczenie. Wkrótce inspektor opuścił pokój, do którego przyszedł ekspert badań wariograficznych. Zainstalowano przyrząd. Rozpoczęła się seria pytań, zadawanych przez eksperta a pisak przyrządu kreślił krzywe na przesuwającej się z wolna papierowej taśmie.

— Czy pan lubi mleko? — padło pytanie.

— Lubię.

— Czy pan lubi lody?

— Tak sobie.

— Czy pan wie o zamordowaniu Haliny Kozery?

— Tak.

— Czy pan ją zabił nożem?

— Nie zabiłem.

— Czy pan ją zabił, strzelając z pistoletu?

— Nie.

— Czy pan ją zabił cegłą?

— Nie.

— Czy pan zgwałcił Halinę?

— Nie.

Trwało to dłuższy czas, a pisak przyrządu wędrował po taśmie wskazując słabsze i mocniejsze wachnięcia krzywej, występujące podczas pytań.

— Dziękuję — powiedział na koniec ekspert, wyłączając urządzenie. Julian Czaban czekał dość długo, aż pojawili się znowu milicjanci. Był z nimi człowiek, który obsługiwał wariograf.

— Muszę panu, panie Czaban oznajmić przykrą wiadomość — usłyszał podejrzany z ust inspektora Andrzeja Cieślika. — Wykres, sporządzony przez aparaturę, świadczy o panu nader niekorzystnie. Pan jest po prostu zabójcą Haliny Kozery i tego nikt cofnąć nie zdoła. Niech pan, doktorze — oficer zwrócił się do eksperta od wariografu — zechce zapoznać pana Juliana ze swoją opinią.

— Kapitan powiedział panu prawdę — sucho rzekł doktor. — Pańskie reakcje fizjologiczne na krytyczne pytania nie budzą wątpliwości. Nie ja będę rozstrzygał, czy pan jest winien czy nie, ale lojalnie i szczerze oświadczam: moja opinia nie będzie dla pana korzystna. Przeciwnie, będzie niekorzystna, chociaż nie mam do pana żadnych uprzedzeń. Pan jest mordercą Haliny Kozery i pan sam o tym wie najlepiej.

Juliana Czabana sprowadzono do celi.

„Ja wiem!"

Następnego dnia, po nieprzespanej nocy, Julian Czaban znowu wezwany został na przesłuchanie. Oficer nie owijał sprawy w bawełnę, odzywał się do podejrzanego w sposób bezpośredni, przedstawiając grozę sytuacji, z której wyjścia nie ma.

— Panie Julianie — mówił pochylony nad biurkiem, ze wzrokiem utkwionym w twarzy przesłuchiwanego — pan jest zdenerwowany i każdy na pańskim miejscu byłby zdenerwowany, nawet człowiek niewinny. Jednakże pan jest winny, a ciężar popełnionej zbrodni przekracza nawet pańskie wyobrażenia. Czy pan przypuszcza, że istnieje jakaś realna szansa uniknięcia najwyższego wymiaru kary, kary śmierci?

Julian milczał.

— Mówię panu z doświadczenia, że szansa taka istnieje tylko w jednym wypadku: jeżeli pan nie będzie już gmatwał śledztwa i opowie otwarcie jak doszło do zabójstwa. Może w tym wypadku sąd znajdzie dla pana jakieś okoliczności łagodzące, może pan wyjdzie z tego z długoterminowym wyrokiem, ale żywy. Żywy człowiek może jeszcze czegoś dokonać, martwy nie ma perspektywy. Nawet, jeżeli pan wierzy w życie pozagrobowe, nie znajdzie pan w tym fakcie pociechy, bo cóż może oczekiwać mordercę po tamtej stronie? Jedyna szansa ocalenia leży w szczerym przyznaniu się do winy. Dla mnie to jest mało istotne, gdyż ja wiem, ja skończyłem swoją pracę. Istotne to jest tylko dla pana...

Dobiegała końca trzecia godzina przesłuchania. Julian Czaban wyprostował się nieco na niewygodnym krześle.

— Tak — powiedział dość głośno. — Pan ma ra-

cję, to się na nic nie zda. Zabiłem ją, chociaż nie chciałem.

— Mądrze pan zrobił przyznając się — rzekł oficer niemal obojętnym tonem. — Teraz będziemy protokołować pańskie zeznanie i zaczniemy je nagrywać na taśmę magnetofonu. A poza tym, poproszę tu prokuratora.

To nie była Kryśka...

— Nie chciałem zabić Haliny Kozery, nie znałem jej w ogóle i nic mnie nie obchodziła — zeznawał przed prokuratorem Julian Czaban. — Znałem natomiast Kryśkę i lubiłem jej towarzystwo. No więc, tamtej nocy, z 10 na 11 marca zeszłego roku, zachciało mi się spotkać z Kryśką. Mogliśmy się urywać z roboty swobodnie, bo byliśmy z Robertem zaprzyjaźnieni i ja go kryłem w razie potrzeby, a on mnie. Więc powiedziałem: „Robert, ja się zrywam, podbijesz kartę". „Dobra, zrobię tu co trzeba, a w czwartek ty zostaniesz na dyżurze sam, bo mam ślub kolegi" — zgodził się Robert. Więc około trzeciej rano ubrałem się i wyszedłem, autobus do Sosnowca jechał za kilka minut. Wsiadłem i jechałem, a jak jechałem to coraz bardziej chciałem pobawić się z Kryśką. Osiemnaście kilometrów wydawało mi się długą drogą, ale kiedy przybyłem na miejsce, zacząłem myśleć, że niekoniecznie Kryśka musi być na dyżurze. Było tam tych pielęgniarek sporo. Widziałem kilka i wszystkie niezłe, każda warta grzechu. Tak sobie przemyśliwałem, kiedy dotarłem przed budynek ambulatorium...

Taśma magnetofonu przesuwała się bezgłośnie, maszyna do pisania terkotała pod palcami protoko-

lanta, prokurator Jerzy Marczyński słuchał i również notował.

— ...wiedziałem, że do ambulatorium nie tak łatwo wejść w nocy. Nie mogłem się nikomu pokazywać... Ale na górze płonęły światła, więc musiała tam być pielęgniarka, pewnie Kryśka. Zresztą, powiem uczciwie: mnie już było wtedy wszystko jedno. ...No więc przeszedłem wzdłuż parteru i zobaczyłem, że jedno okno jest niedomknięte, noc ciepła, w płaszczu było mi gorąco. Bez trudności wszedłem na parapet a potem wskoczyłem do środka i znalazłem się w ciemnym budynku, ale od strony schodów szło światło. Poszedłem tam i ruszyłem prosto do zabiegowego. Nikt mnie nie zatrzymywał, nikogo w budynku nie powinno być o tej porze. „Ona pewnie zasnęła" — myślałem i to byłoby jeszcze lepiej. A w ogóle znowu zacząłem mieć nadzieję, że spotkam Kryśkę. Kiedy otworzyłem drzwi ambulatorium, zobaczyłem kobietę i już wiedziałem, że nie spotkam Kryśki. Ta była spokojna i bardzo ładna, sympatyczna. Zdziwiła się, jak wszedłem a potem zaraz zapytała, co mi dolega. Więc, żeby jej nie nastraszyć, powiedziałem, że boli mnie brzuch. Ta mała przygotowała jakieś lekarstwo i dała mi wypić. Wtedy zobaczyłem, że jest bez sukienki, przez fartuch pod światło przeświecała bielizna i nie mogłem się powstrzymać. Zaczęliśmy trochę rozmawiać i wtedy popełniłem straszny błąd, co ją kosztowało życie, a mnie... — Julian wzdrygnął się. — No, myślałem, trzeba jakoś dziewczynę zagadać, bo przypomniała mi się Kryśka i powiedziałem że ją znam, musiała być przecież koleżanką. Ta moja... ta kobieta ucieszyła się, że znam Kryśkę, coś tam zaczęła mówić, ale mnie już nic nie obchodziło i straciłem panowanie. Zamiast ją ugadywać, złapałem za gardło i zacząłem jej ścią-

gać majtki. Nie krzyknęła, chociaż się szamotała, ja lubię, jak kobieta trochę się opiera, ale nie wiedziałem, czy ona chce czy nie, więc zacisnąłem ręce jeszcze mocniej a wtedy mi zelżała i obsunęła się na podłogę. Była teraz prawie naga, stanik też jej zdjąłem. Ale byłem taki napalony, że zanim ją wziąłem, już było po wszystkim. — Julian Czaban zamilkł na moment, przymykając oczy, odtwarzał w pamięci wrażenia. — A jak było po wszystkim, to zobaczyłem, że kobieta jest nieprzytomna, znaczy, poddusiłem ją za mocno. Zrobiło mi się zimno ze strachu: już kiedyś mnie posądzili o gwałt, na tamtej Anieli, w 1962 roku, co panowie wiecie. Pomyślałem, że gwałt gwałtowi nierówny, za takie podduszenie jest srogi wyrok, nie mniej niż trzy lata więzienia, tyle z kodeksu wiedziałem. Ona, to znaczy Halina, pewnie by mnie nigdy nie rozpoznała, bo nie mieliśmy żadnego styku. Mogłem wstać i uciec, zdążyć jeszcze na koniec dyżuru w Katowicach. Ale przedtem popełniłem błąd, o czym już mówiłem: wygadałem się z tą Kryśką. Myślałem tak: ja się urwę, dziewczyna dojdzie do przytomności, podniesie raban i zaraz zleci się milicja. Ona mnie nie zna, ale powie: „To był znajomy Kryśki". I to już wystarczy, żeby mnie mieli. Co robić, kryminał pewny... Przypomniałem sobie, że zaraz mam autobus i że jeżeli coś mogę zrobić to jeszcze przez kilka minut, zanim nadejdzie dzień albo zanim przyjdzie ktoś do ambulatorium. Pomyślałem, że nikt mnie tu nie widział i nikt nie zna, oprócz tej nieprzytomnej. Jakby jej nie stało na świecie, to mnie nigdy nie dostaną i nie będę siedział. Postanowiłem, że ją zabiję, a że nie miałem żadnej broni, poszedłem po te cegły, co je widziałem przedtem w korytarzu budynku. I jak umyśliłem, tak zrobiłem...

Następnego dnia, ponownie wezwany na przesłuchanie do prokuratora, Julian Czaban nie tylko wyraził sprzeciw wobec projektowanej wizji lokalnej w ambulatorium, ale... odwołał swoje przyznanie się do zabójstwa.

— Jestem niewinny — powtarzał jak nakręcony automat, a prokurator Jerzy Marczyński wzruszył ramionami z politowaniem.

— Nie może pan bawić się z samym sobą w kotka i myszkę — powiedział. — Dla wymiaru sprawiedliwości pańskie zaprzeczenia w tej chwili są już obojętne, natomiast pan pogrąży się we własnym sumieniu (prokurator nie miał pewności, czy słowo „sumienie" cokolwiek dla Juliana oznacza).

— Powiem przed sądem, że schwytano mnie w pułapkę — trwał przy swoim podejrzany — że moje zeznania nie mają wartości, że były wydobyte przymusem.

— Nie stosowano wobec pana żadnego przymusu. Mógł pan milczeć. Tak czy inaczej — dowody są przeciw panu.

— Ale na wizję lokalną nie zgadzam się — oświadczył Julian.

Prokurator powtórzył rozmowę oficerowi Biura Kryminalnego KG MO.

— Cóż — rzekł Andrzej Cieślik — Julian zostanie skazany. Jednakże przewód sądowy będzie długi i żmudny, już słyszę pańskie spory z obrońcami... To pan będzie oskarżał?

— Zapewne. Oczywiście, jeżeli biegli psychiatrzy uznają Juliana zdolnym do rozpoznawania własnych czynów. On jednak musi być trochę tego... — prawnik z Katowic zakreślił kółko na czole.

— To psychopata, zimny psychopata. Moim zdaniem zdrów jak ryba. Nadmierny popęd seksualny zdominował jego psychikę, ale przecież wielu mężczyzn posiada silnie rozwinięte libido, a nie dokonują gwałtów, a już w żadnym wypadku nie mordują...

— Spróbuję jeszcze jednego atutu — oświadczył prokurator. Po czym znowu kazał przyprowadzić podejrzanego.

— Dam panu szansę — rzekł do Czabana. — Zależy mi na dokonaniu wizji lokalnej z pańskim udziałem, chcemy nakręcić tam film, gdzie pan odegra scenę po scenie swoje zachowanie krytycznej nocy. Proszę nie przerywać — dodał widząc grymas na twarzy Juliana. — Panie Czaban — zaczął znowu prokurator, nabierając w płuca oddechu. — Mnie zależy na prawdzie i prawda została dla pana również jedynym ratunkiem. Niech pan współpracuje ze mną, a ja panu coś obiecam...

— Co takiego pan mi może obiecać? — zdziwił się Julian Czaban, prześladowany od dłuższego czasu widmem szubienicy.

— Panie Czaban, jest wysoce prawdopodobne, że to ja będę pana oskarżał na sali sądowej. Otóż mogę panu obiecać, że jeśli pan wyrazi zgodę na uczciwą współpracę w śledztwie, ja z kolei nie będę wnosił o najwyższy wymiar kary. Nie powieszą pana. To wszystko, co mam panu do powiedzenia.

— A jak ja mogę panu wierzyć? — zapytał nagle z rozbudzoną nadzieją Julian.

— Może mi pan nie wierzyć. Pan ma moje słowo. Daję panu wybór.

— Wierzę panu. Dobrze, zgadzam się na wizję lokalną.

— I na nakręcenie filmu.

— Tak.

Niemal natychmiast przystąpiono od odtwarzania popełnionej zbrodni. Okazało się, że w ciągu minionego roku budynek ambulatorium został wreszcie odremontowany, dokonano tam nawet przeróbek, przesunięto niektóre ściany, przestawiono sprzęty itp. A jednak Julian Czaban, raz podjąwszy decyzję, z wielką precyzją odtwarzał swoje poczynania od chwili wejścia do budynku aż do jego opuszczenia. Sąd nie mógł mieć po obejrzeniu filmu wątpliwości, że sprawcą zbrodni był Julian Czaban. Toteż gdy po badaniach psychiatrycznych biegli ustalili, że oskarżony może, jako w pełni poczytalny, odpowiadać przed sądem, rozprawa trwała krótko.

Andrzej Cieślik był zdziwiony, że prokurator Jerzy Marczyński na tydzień przed wyznaczonym terminem procesu zrzekł się oskarżenia, przekazując akta i notatki szefowi prokuratury i prosząc o wydelegowanie do sprawy innego oskarżyciela. Prokurator miał nawet z tego powodu trochę nieprzyjemności, ponieważ ludzi w prokuraturze brakowało, a nikt tak dobrze nie znał historii zbrodni, jak Jerzy Marczyński.

— Pan... — szef prokuratury był bliski furii — pan sabotuje pracę... Nie wiem, jak to określić, stawia pan nas w trudnym położeniu...

— Być może — odparł Jerzy Marczyński. — Ale nie mogę uczestniczyć w procesie, bo tu trzeba żądać kary śmierci.

— Oczywiście, kary śmierci. Może jest pan przeciwnikiem tej kary?

— Nie o to chodzi. Dałem słowo Julianowi Czabanowi, że nie zażądam KS.

— Słowo dane zbrodniarzowi!

— Tak, ale to jest moje słowo — odparł prokurator.

Wyrok Sądu Wojewódzkiego zapadł jednomyślnie: „Kara śmierci".

Dywagacje

Od wyroku Sądu Wojewódzkiego obrona odwołała się do Sądu Najwyższego, a ten skierował ją ponownie do rozpatrzenia przez Sąd Wojewódzki w innym składzie sędziów. Tym razem prawnicy doszukali się najwidoczniej w działaniach sprawcy okoliczności łagodzących, gdyż orzekli karę 25 lat więzienia zamiast kary śmierci. Niedawno Sąd Najwyższy wyrok ten zatwierdził i mroczna sprawa Juliana Czabana została w ten sposób zamknięta. W owym kazusie, jak się wydaje schematycznym z punktu widzenia czynu (chociaż na pewno nie śledztwa prowadzonego z osobistą pasją), zwraca uwagę fakt, że zabójstwo popełnione zostało po to, by sprawca pozbył się jedynie świadka swego przestępstwa, gwałtu. Może się wydawać opinii publicznej, że kary za gwałt, kary obostrzone w kodeksie obowiązującym od roku 1969, są zgodne z duchem czasu. Zapewne tak jest, gdyż plaga gwałtów w swoim czasie zwiększyła się i Ustawodawca pragnął, obkładając czyn surowszym wymiarem kary, obniżyć narosłą falę. Celu właściwie nie osiągnięto, natomiast wzrosła wybitnie liczba zabójstw, dokonywanych przez gwałcicieli na swych ofiarach.

Można dyskutować z wyrażonym tu poglądem, nie można jednak przejść do porządku nad faktami. Jest pewne, że liczba gwałtów popełnianych w naszym kraju bardziej zależy od poziomu moralnego, od uświadomienia społecznego obywateli, niż od

wysokości represji karnej. Pozostaje do rozstrzygnięcia również kwestia wymierzenia kary przestępcom seksualnym, u których biegli psychiatrzy stwierdzają chorobę umysłową. Według polskiego prawodawstwa, sprawca niepoczytalny nie może ponosić odpowiedzialności za swoje czyny, niemniej jednak pozostawienie go na względnej nawet wolności (internacja w zakładzie psychiatrycznym), nie gwarantuje społeczeństwu bezpieczeństwa. To chyba jeden z najbardziej zapalnych punktów dyskusji, jaka powinna być przeprowadzona przy nowelizacji prawa karnego w Polsce. Bo nie jest kwestią bagatelną, że liczba przestępstw i zbrodni, dokonywanych przez osobników chorych psychicznie, w ostatnim czasie wzrosła znacznie.

Należy wybaczyć reporterowi, opisującemu zbrodnię Juliana Czabana, że nie ograniczył się do podania realiów, lecz zainteresował się ogólniejszymi aspektami morderstwa dokonanego na 25-letniej pielęgniarce z Sosnowca. Najkrócej ujmując refleksje reportera, trzeba je sprowadzić do wątpliwości dotyczących psychiatrycznych orzeczeń oraz ich znaczenia dla wymiaru sprawiedliwości.

Od redakcji: *Wszystkie nazwiska ze zrozumiałych względów zostały zmienione.*

Tadeusz Brodziak

DZIEDZICTWO

LEŚNICZÓWKA jest raczej nietypowa. W każdym razie ulokowana inaczej, niż w potocznych wyobrażeniach i literackich opisach, których autorzy zwykli byli pomieszczać tego typu budynki na leśnych, urokliwych polanach lub w nieprzebytych ostępach. Na jej czyste, wysypane piaskiem podwórze wjeżdża się wprost z asfaltowej szosy przez szeroką bramę przedłużoną szpalerem ozdobnych tui. Podwórze zamknięte z trzech stron tradycyjną oborą, stodołą, wiatą na traktor i — już nieco mniej tradycyjnym — garażem na ,malucha", pełne jest typowego, podwórzowego rozhoworu. Kury, kaczki, kurczęta, kaczęta, krowa, jałówka, prosiaki, jedna owca i jeden baranek. Polskie wszystkiego po trochu, czyli chodzące kartki, bo leśnikom, nawet najbardziej regulaminowo umundurowanym skoro mają jak Tadeusz Brodziak więcej niż dwa hektary, kartki żywnościowe jak najbardziej regulaminowo nie przysługują. A przecież czasami i na wsi jakieś zwierzęce białko do garnka wrzucić trzeba, wszystkiego upolować nie można, nawet przy pomocy dwu panatadeuszowych terierów, tych psów co to są jak psy na dzika. Bo psy i dubeltówka swoją drogą, a swoją specjalne ogrodzenie sąsiadujące z rewirem pana Tadeusza. Ogrodzenie, za którym na obszarze 400 ha najlepsze sztuki dziczyzny są zamknięte,

dokarmiane według naukowych zasad i spacerujące w spokoju, jako że z góry mają zagwarantowane, iż tylko od kul myśliwych dewizowych paść mogą. Jest więc ograniczenie, ale i postęp, bo dawniej do lasów dworskich wokół majątku Sucha, potem, w okupację Liegenschaftu Sucha, przyjeżdżał na polowanie co najwyżej generał Kasprzycki z Warszawy, a potem gubernator Frank z Krakowa, a dziś — proszę — z najdalszych krańców Europy myśliwi tu zjeżdżają i słono za każdą ubitą sztukę płacą.

Tu należy się wyjaśnienie oficjalne. Lekki ton tych sformułowań pochodzi od Wywiadowcy „ER" a nie, broń Boże, od pana Tadeusza, który swój wiek posiada, nie jest, broń Boże, kontestatorem żadnym, a szczególnie z tych co wykpiwają szlachetną i ekonomicznie uzasadnioną ideę rezerwatów dla dewizowców. Wprawdzie po wprowadzeniu stanu wojennego dewizowcy przestali do nas „wpływać" a wraz z nimi dewizy, ale w miarę upływu czasu jak zwykle tak i na tym polu wszystko się odkręci, zresztą już coś się zaczyna odkręcać (za parę tygodni zapowiedzieli swój przyjazd dwaj pierwsi myśliwi aż ze słonecznej Italii, kraju, gdzie przyjęte jest polować na skowronki, więc polskie dziki mają opinię groźnych bestii numer dwa, zaraz po polskich niedźwiedziach). Pan Tadeusz ma przeto uzasadnioną nadzieję, że jeszcze pół roku, jeszcze rok i znów, mimo stanu wojennego, wrócą dawne, dobre czasy; znów wpływy dewizowe za dewizowe polowania pozwolą spłacać jakąś tam część dolarowych długów byłej ekipy rządzącej, bo w Polsce — tak w każdym razie uważa mój rozmówca — wszystko może zawieść, ale las nie; po prostu tradycja jest już w naszym kraju taka od wielu, wielu lat, że wszystko może być nieopłacalne: przemysł, rol-

nictwo, rzemiosło, gastronomia, ale las zawsze dawał, daje, będzie dawał bogactwo. Zawsze się tak uważało i nadal się tak, całkiem słusznie uważa, dlatego też tak się ten las bez opamiętania rąbie, wyplenia; naukowo, planowo, według coraz to wyższych wskaźników i norm — aż wreszcie odwieczna, słuszna racja o odwiecznym lasów polskich bogactwie, przestanie być słuszną racją gruntownie i raz na zawsze. Ale co tam. Nas już wtedy nie będzie.

Otóż to. Właśnie. Nie wiedzieć jak, dotykamy w naszej z panem Tadeuszem rozmowie zastanawiającego tematu: jak dużo starych porzekadeł ludowych na temat lasu, powietrza, wody — oddawać trzeba do językowego lamusa; nie pasują, coraz bardziej nie pasują do współczesnych obserwacji i doświadczeń. „Nie było nas, był las, nie będzie nas, będzie las." Co za bzdura. Bardziej możliwe staje się, że jak nie starczy nas — i lasu nie starczy. Tego lasu, cośmy go sami wyrąbali.

— Ale proszę pamiętać, że są to moje poglądy wyłącznie prywatne — podkreśla pan Tadeusz, w połowie dyplomata, w połowie służbista, taki, co to za nic obcemu nie powie, jakie konkretnie miał plany wyrębu dawniej, a jakie ma dziś, odsyłając po odpowiedź na to pytanie („teraz takie czasy, że nic nie wiadomo — może to tajemnica służbowa?") do zwierzchności.

Trzeba więc koniecznie stwierdzić nie prywatnie, ale służbowo, że leśniczy Leśnictwa Sucha z Nadleśnictwa Dobieszyn koło Białobrzegów, stara się wszystkie plany wyrębu i zalesień w swoim dwa tysiące hektarów liczącym rewirze, wykonywać jak trzeba, to znaczy jak najlepiej. A że nie zawsze to wychodzi, głównie z zalesieniem — trudno, siła wyższa, ponad obiektywne możliwości nie przeskoczysz, wiadomo. Do niedawna trochę łatwiej było.

Miało się dobrosąsiedzkie kontakty z nauczycielami, dzieci ze szkoły były chętne. Strasznie lubiły małe sosenki na wyrębach sadzić. A teraz, kiedy zarządzenie wyszło, że dzieci nie wolno brać do pracy w lesie w godzinach lekcyjnych, tylko po lekcjach, uczniowskie lubienie sosenek okazało się bardziej nielubieniem rachunków czy polskiego. Właśnie dziś, na ten przykład, pan Tadeusz z dziećmi szkolnymi sadził sadzonki i w samą porę na obiad do domu wrócił, odwiózłszy przedtem każde dziecko pod dom. Ani połowy tego, co miało być zrobione nie zrobiono, ale jak można inaczej? Dzieciaków na głodno trzymać w lesie nie będzie, dzieci to dzieci, mają swoje prawa. Może nawet trochę za dużo tych praw w stosunku do takiej, na przykład, przedwojny.

Akurat naprzeciw leśniczówki, na łące między drogą a lasem, jest boisko („na pewno widział pan takie bramki biało malowane, przeoczyć trudno"). Jak pogoda przyjdzie, obojętnie niedziela czy dzień powszedni, młodzi na tym boisku piłkę kopią. Nieraz od rana do wieczora. I dobrze. Gorzej, bo jak żniwa przyjdą albo wykopki, to nieraz taka sytuacja się wytwarza: tu jadą drogą wozy na pole albo z pola, na wozach ojcowie i matki, a tu ich dzieci zamiast robotą — piłką się zajmują. Nawet ani pomyślą, żeby starym pomóc. A kiedy im z zewnątrz tę myśl podsunąć, zwrócić uwagę znaczy — od razu obraza. Pretensje. Żeby się nie wymądrzać na ten temat. Bo oni są wystarczająco mądrzy i sami wiedzą, jak ma być zgodnie z ukierunkowaniem ustrojowym. Jeśli nawet ktoś nie kończył polsko-ludowych szkół jak oni — tak niby tłumaczą, usta odymając w obrazie — wystarczy mu w telewizor spojrzeć na byle program z gadającymi profesorami, albo na serial jaki, na przykład „Daleko od szosy".

I od razu ten ktoś, choćby był nie wiedzieć jak przedwojennie głupi — właściwą mądrość co do aktualnego ukierunkowania posiędzie: że oni robią jak należy od prac na roli uciekając i uciekając ze wsi w ogóle, bo przyszłość tylko na sztandarowych budowach a nie w zacofanych, ojcowskich gospodarstwach, gdzie nie ma wystarczającego uprzemysłowienia tylko harówka od świtu. Tak wiatr wieje. Nie na pola, ale od pola. Ode wsi. A jak kto, choć ma oczy, nie widzi tego i nie rozumie co się młodym ustawowo należy — niech do Warszawy na ulicę Woronicza 17 napisze, pan Hopfer i pan Rzeszot potwierdzą.

Pan Tadeusz urodzony w Suchej (tak jak jego dziad i jego ojciec), wychowany w Suchej i niemal całe dorosłe życie w Suchej mieszkający — zna dobrze ludzi w całej okolicy i wie, czego po kim można się spodziewać, choć w ostatnich latach te znane sobie spodziewania zbyt często uaktualniać musi.

Miał kiedyś oparcie i to pewne w takim jednym („tylko proszę nie podawać nazwiska") dobrym znajomym, gospodarzu całą gębą z sąsiedniej kolonii za lasem, tym, co go „Spacerowym" nie wiedzieć czemu nazywają. Znajomek ów, nie tylko gospodarz, ale i mężczyzna jak się patrzy, siedmiu synów niemal rok po roku się dorobił. Można było na pewniaka liczyć, że przynajmniej jeden z nich zgodzi się przyjść do lasu na robotę. Tacy już byli, że lubili z piłą i siekierą się pokazać, może przez to, że mieli w pamięci ojca, co zanim dużych hektarów się dochrapał drwalem był i wozakiem i nigdy się tego później nie wypierał, przeciwnie. Dziś do dobrego znajomka za lasem zachodzi pan Tadeusz z rzadka i tylko po to, aby do spółki — gadu, gadu — mile ponarzekać. Z siedmiu synów żaden na dużych hektarach nie został, wszystkich do miasta wymiotło.

Gospodarka podupada, robota w lesie bez młodych, zapalonych do leśnej pracy, też nie idzie najlepiej. A w ogóle w wielu przyleśnych osadach i koloniach, mających kiedyś zasłużoną opinię, że w nich ludzie lasu mieszkają, tacy co z lasu żyją zawodowo — co drugi dom ma dziś drzwi i okna zabite deskami na głucho. Coś się kończy i nic nowego w tym miejscu kiełkować nie zaczyna. Znane miejsca stają się puste coraz bardziej.

— No bo też trzeba, panie Tadeuszu, przyznać, że w tych podleśnych koloniach i osadach ludzie żyli ledwo, ledwo, na dorobienie się czegoś nie można tam było specjalnie liczyć. Mówią o tym chociażby same nazwy niektórych z tych miejscowości. Jeśli jest tu na przykład wieś, która nazywa się Nędze... Nazwa Sucha też skojarzeń z tłustością nie przywodzi...

— Sucha w dawnych czasach nie nazywała się po prostu Sucha, ale Sucha Szlachecka.

— Ten przymiotnik okraszał herbem, niekoniecznie słoniną.

— Ale też słonina nie zawsze świadczy o godności — nie daje się pan Tadeusz, który, jak mało kto, zna z rodzinnych przekazów historię Suchej, a szczególnie tutejszych dóbr i wie, że szlachta zagrodowa przywieziona została w te strony z majętności Tyszkiewiczów na Litwie razem z posagiem jednej hrabianki Tyszkiewiczówny, co za jednego z sucheckich dziedziców, za Glinkę znaczy, za mąż wyszła.

Pan Tadeusz nie daje się zbić z tropu i dlatego, że przez wspomnienie o godności ludzkiej, może wrócić do jakże dlań ważnego problemu. Że kiedyś ludzie lubili pracę w lesie i podejmowali ją nie tylko dla pieniędzy. Że kiedyś drwal miał swoją godność i miał poważanie. Gdzie to zaginęło? Czym to

wytłumaczyć? Czy tylko tym, że dziś drwalem można się stać według własnego uznania na dzień, dwa, trzy — a potem znów nim nie być? Czy winne są temu tylko śmiesznie niskie stawki? To tylko, że jak ktoś akurat potrzebuje pieniędzy, to prędzej najmie się do gospodarza za 600 zł dniówki i wyżywienie, niż pójdzie do lasu za sto pięćdziesiąt złotych i kawę regeneracyjną...

Kiedy pan Tadeusz czyta gdzieś o romantyzmie ciężkiej pracy w lesie, lub dla odmiany o tym, że stała się ona lekka dzięki umaszynowieniu, zmechanizowaniu i temu podobne — to tylko w zdumieniu głową kręci. Czego to w tych gazetach nie wymyślą! Romantyzm! On ten romantyzm aż za często czuje, ale w nogach. Jak się jednego dnia obkolęduje dwieście pięćdziesiąt domów — bo tyle akurat liczy Sucha — namawiając do pracy w lesie na któryś tam dzień i wiedząc, że umówionego dnia, kiedy sprzęt zostanie dostawiony i transport, zamiast planowanych dwudziestu chłopa zjawi się dwu tylko, to... Można nie kończyć. Patrzy się na tych dwu chłopów, zwykle na kacu lub przed kacem, i... Ech, nawet właściwych, eleganckich słów trudno znaleźć. Tylko w eleganckich słowach jest ten wymyślony gdzieś w miastach romantyzm. A eleganckie słowa do warunków dzisiejszej pracy w lesie pasują jak pięść do nosa.

— Może jednak za młodych lat pojęcia romantyzmu i pracy w lesie nie wydawały się panu tak rozbieżne? Bo chyba jednak wybrał pan ten a nie inny zawód całkowicie świadomie. Oczywiście zakładam, że musiała działać w tym względzie tradycja rodzinna. Skoro i dziad i ojciec byli leśnikami, to... Wiadomo. Ale tradycja nie wszystko tłumaczy...

— Zaraz panu coś powiem. Szczerze. Fakt, że pod wpływem rodzinnym skończyłem szkołę średnią

o kierunku leśniczym w Żyrowicy koło Słonima (tylko dwie takie szkoły przed wojną były: jedna w Krzemieńcu, druga właśnie w Żyrowicy). Fakt, że dzięki ojcowym stosunkom w tutejszym dworze po skończeniu tej szkoły wyjechałem na pierwszą pracę do puszczy Świsłockiej na Wileńszczyźnie (był to rozległy kompleks lasów prywatnych, należących do spółki rodzinnej spadkobierców gen. hr. Wodzińskiego; za moich czasów spółka zaczęła inwestycje — budowę leśniczówek i tartaków; dla młodego było to i pouczające i ciekawe), ale jest także faktem, że ledwie zdołałem spróbować zawodowo leśnictwa, zaczęła mi się marzyć wojskowa kariera. Chciałem wstąpić do podchorążówki i zostać zawodowym oficerem. Koniecznie w kawalerii.

— Zwyczajne, młodzieńcze marzenia. Mało kto, szczególnie z pokolenia narodzonego jak pan, na samym progu pierwszego okresu wolności Polski, to znaczy w okolicach 1917 roku, nie marzył aby zostać oficerem i to koniecznie w kawalerii. Nic dziwnego, że i w pana wypadku te typowe marzenia znalazły się w sprzeczności z wyuczonym zawodem i zawodową tradycją rodzinną.

Tak sobie filozofuję, ale zaraz wychodzi na jaw, że mylę się i to grubo z tą moją teorią „sprzeczności" w stosunku do rodzinnej tradycji. Bo pan Tadeusz — leśnik, syn leśnika i wnuk leśnika, wychowany został po równi w tradycji leśniczej jak wojskowej. Szczegółowo zaś mówiąc w tradycji powstańczej.

W rodzinie Brodziaków z pokolenia na pokolenie przekazywana jest opowieść o czynach zbrojnych dokonanych przez dwóch dziadów (tego ze strony ojca i tego ze strony matki) podczas powstania w 1863 roku i o ich późniejszej zesłańczej martyrologii. Opowieść ta — niezwykle szczegółowa, pełna

dygresji — zawierająca m. in. przekaz i o tym, jak dwaj powstańcy z dziadkowego oddziału ranni w przegranej potyczce z Kozakami na terenie wsi „dokładnie przy tym zakręcie, obok mostku to było" ukryli się w dworskiej kuchni czeladnej w dwóch beczkach pełnych pierza — kształtowała nie tylko wyobraźnię. Była też imperatywem moralnym, który nakazywał najpierw ojcu pana Tadeusza, potem jemu samemu, sprawować pieczołowitą opiekę nad mogiłami powstańczymi w lasach okolicznych i nad starymi, dębowymi krzyżami upamiętniającymi miejsca bitew i potyczek.

— Więc chciał pan zostać zawodowym oficerem, ale... — podpowiadam zagubiony wątek.

— Ale wybuchła wojna. I tak zostałem przy leśnictwie.

Pan Tadeusz, mężczyzna zawsze zrównoważony, szczupłej budowy ciała i prosty jak trzcina mimo sześćdziesiątki z dużym hakiem — nie byłby sobą, gdyby nie uzupełnił zaraz tej informacji dygresją, że wojna, chociaż przekreśliła jego karierę wojskową, nie pozbawiła go przecież wojskowych i wojennych doświadczeń. Słucham więc wielce szczegółowej, najeżonej licznymi wtrętami, opowieści o służbie w 29 pp., gdzie — choć to była piechota — udało mu się dostać do zwiadowczego, kawaleryjskiego plutonu. A potem słucham o walkach frontowych w szeregach tego samego pułku we wrześniu 1939 i o tym, jak się ta walka skończyła wreszcie — niewolą.

Wysłuchuję tego wszystkiego pomny, że jednak w ostatecznym rachunku, najdłużej wytrwał pan Tadeusz w dobrowolnej niewoli lasu, że jego spokój połączony z twardym charakterem ukształtowały zapewne dziesiątki lat spędzone na obcowaniu z jednym z najwspanialszych tworów natury. Że chociaż

tzw. pragmatyka służbowa dąży do tego, aby leśnik widział w lesie wyłącznie metry kubiczne drewna różnego gatunku, to chyba nawet leśnik nie może oprzeć się szczególnemu nastrojowi wytwarzanemu przez las, który — jeśli się go nie tylko widzi ale i czuje — stanowi niezastąpione lekarstwo na nasze niepokoje i stresy.

— Lubi pan las? — pytam z zaskoczenia, mimo wszystko niezbyt pewny swego.

Ale pan Tadeusz nie kwapi się do podjęcia dialogu w takich kategoriach. O lubieniu lub nielubieniu lasu tak samo nie wypada w dobrym towarzystwie mówić, jak o lubieniu lub nielubieniu żony. Po pewnym czasie wyznaje jednak, że chociaż tutejsze lasy między Suchą a Pilicą wtedy, kiedy były jeszcze prywatne, dworskie, zdeptał wzdłuż i wszerz najpierw jego dziadek (dworski leśniczy), potem ojciec (dworski leśniczy) i on sam na koniec, to jednak najmocniej zapadł mu w pamięć ten las, który go przyjął pierwszy ze świeżym dyplomem w kieszeni: puszcza nad daleką Świsłoczą.

— Tam to był las: potężny i rozległy. Można było całymi dniami po nim chodzić i drugiego człowieka nie zobaczyć. A jak wiatr nad drzewami powiał, to szum taki się rozlegał, jakby w górze było jakieś morze. Nie tak, jak w tym dzisiejszym lesie tutaj, obok którego międzynarodowa trasa E7 przechodzi; lesie, w którym jak przyjdzie sezon, wzdłuż i wszerz nie poszum wiatru słychać, ale wizg pił mechanicznych.

— Czasy naszej młodości są zawsze najpiękniejsze, panie Tadeuszu...

— Tutejsze lasy — sosna z domieszką brzozy i dębu — właściwie nie są brzydkie, wie pan, tylko o wiele mniejsze i inne w nastroju. No i modrzewia w nich niewiele. A w modrzewiu to ja najbardziej

sympatyzuję — zwierza się pan Tadeusz. — I drzewo szlachetne i drewno wytrwałe.

— A dąb? Powszechnie uważa się dębinę za najbardziej odporną na destrukcyjne działanie czasu...

Różnie może się kojarzyć hasło: dąb. Panu Tadeuszowi kojarzy się — jakże by mogło być inaczej! — ze styczniowym powstaniem. Bo krzyże stawiane na miejscu powstańczych potyczek były z dębu właśnie. Z grubych, okrągłych pni okorowanych ledwie, ciętych na sagę (tzn. nieco skośnie). Dębowe powstańcze krzyże, którymi opiekował się najpierw ojciec pana Tadeusza, potem on sam, wpadały powoli w ziemię, robiły się coraz niższe i niższe, wreszcie niektóre z nich, jak na przykład krzyż na stajaniach, koło Stromca, zostały wymienione na nowe, nową modłą robione. Więc pan Tadeusz zabrał do siebie to, co ze starych, oryginalnych krzyży zostało i przymierza się, żeby je naprawić, uzupełnić i obok nowych postawić. — Dla innych — tłumaczy — taki krzyż to tylko ogólna pamiątka historyczna, dla niego te krzyże są... — pan Tadeusz zastanawia się dłużej szukając właściwego określenia — jak talizman.

Leśniczy u dziedziców Glinków w Suchej, ojciec pana Tadeusza wyróżniony był tym, że nie mieszkał w czworakach, ale w drewnianym, osobnym domku z kawałkiem ogrodu, a w dworskiej oborze trzymać mógł na dworskiej paszy trzy krowy i dwie jałówki. Pan Tadeusz, leśniczy w Nadleśnictwie Lasów Państwowych w Dobieszynie wyróżniony jest nie tym, że mieszka w obszernym, murowanym, piętrowym domu otoczonym rozległym ogrodem i sadem, nie tym, że w sadzie pod drzewami stoją ule, a w podwórzowym garażu Fiat 126 p (podobnych domów, ogrodów i garaży jest we wsi więcej); wyróżniony jest tym, że ma za podleśniczego

w swoim biurze — własną żonę. Bo obok mechanizacji i wszystkich innych nowoczesnych postępowych „akcji", charakteryzujących leśnictwo powojenne, niepomiernie rozwinęła się w nim nowoczesna biurokracja. Gdyby pan Tadeusz sam chciał sprostać wszystkim nałożonym na niego wymogom papierkowym, tym różnych wykresom, sprawozdaniom, wyliczeniom, statystykom — w ogóle nie miałby czasu, aby krok po lesie zrobić, całe życie w pokoju biurowym by przesiedział. Kto wie, może nawet taki leśnik byłby ideałem dla różnych urzędników siedzących gdzieś tam wysoko w wielkomiejskich biurach? Na szczęście pan Tadeusz ideałem jeszcze nie jest. Tego spokojnego służbistę zbyt wiele rzeczy potrafi jeszcze denerwować. Ot, chociażby to, że kiedyś drewno uzyskane z przecinek było w cenie, szło do ludzi, ludzie się bili o nie. A dziś? Dziś się je po prostu zbiera na kupy i pali. Taka jest podobno cena postępu. Elektryfikacji wsi, wzmożenia wydobycia węgla. Ale czy akurat taka cena być musi? — pyta sam siebie oraz Wywiadowcę „ER" pan Tadeusz, który skończył przed wojną rzadką wówczas szkołę średnią o kierunku leśniczym i zdążył zakosztować jeszcze smaku prawdziwej, kresowej puszczy.

Może bardziej od pana Tadeusza przystaje do powojennego, nowoczesnego modelu naszego leśnictwa jego syn — też leśnik. Konkretnie — magister leśnictwa. Młody naukowiec, asystent Wydziału Leśnictwa Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Las, jako teoria, to przecież nasza przyszłość. Las w y ł ą c z n i e jako teoria.

Jan I Wywiadowca

Spis Treści

Redaguje zespół
Jerzy Ambroziewicz, Bolesław K. Kowalski, Kazimierz Koźniewski, Stefan Kozicki i Aleksander Rowiński

Opracowanie redakcyjne
Hanna Maślankiewicz

Projekt graficzny okładki
Marek Płoza-Doliński

Redaktor techniczny
Tomasz Kolasa

Korektor
Elżbieta Tymińska

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA
RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH"
WARSZAWA 1982

Wydanie pierwsze. Nakład 100 000 + 350 egz.
Objętość: ark wyd. 6,06, ark. druk. 6,07
Papier druk. kl. V, 70 g, szer. roli 71 cm
Skład, druk i oprawa: PZGraf w Krakowie,
ul. Wielopole 1. Zam. 1102/82. Z-102.
Nr prod. XII-5/989/81 Tomik 8/82.

1 2 3 4 5 6 7 (8) 9 10 11 12

W cyklu „DZIEDZICTWO" rozmowa z
TADEUSZEM BRODZIAKIEM

„EKSPRES REPORTERÓW" jest jedyną na polskim rynku wydawniczo-księgarskim reportażową serią książkową o aktualnej tematyce.
Tomiki „„**EKSPRESU REPORTERÓW"** ukazują się co miesiąc.
W następnych tomikach m. in. przedstawimy Czytelnikom:

- o podhalańskiej „dolarowej wsi"
- o odczytaniu – w Polsce, przez Polaka – egzotycznego pisma rongo-rongo (opisane specjalnie dla „Ekspresu Reporterów" przez samego odkrywcę)
- o trudnym śledztwie w sprawie zabójstwa młodej dziewczyny

NIC CO CIEKAWE NIE JEST NAM OBCE!
Szukajcie **„EKSPRESU REPORTERÓW"**
w kioskach „Ruchu" i księgarniach.



zł 40,-